POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 17-go maja 1941r.*** **Rok III. Nr. 20**

Polska i Niemcy w ciągu wieków

Od pierwszej chwili, kiedy Polska wstąpiła na scenę dziejową, stanęła wobec groźby niebezpieczeństwa niemieckiego. Śmiało można powiedzieć, że tysiącletnie dzieje narodu polskiego stały pod znakiem trwałego konfliktu z zachodnim sąsiadem. Antagonizm polsko-niemiecki stał się niejako jedną z funkcji polityki polskiej i oddziaływał w sposób rozstrzygający na kształtowanie się i rozwój państwowości polskiej.

Spór z Niemcami w toku dziejów przybierał różne formy polityczne, gospodarcze i kulturalne. Jedna wszakże rzecz wyraźnie da się stwierdzić—to rozrastanie się potęgi niemieckiej kosztem etnicznego obszaru polskiego. Fakt ten zarysowuje się wyraźnie, jeśli się przypomni, że po sześciu wiekach osłabienia prężności Niemiec, uwikłanych w politykę włoską—odrodzenie wyszło z Prus. A przecież Prusy, które przeprowadziły zjednoczenie Niemiec i odegrały tak olbrzymią rolę w budowie dzisiejszego państwa niemieckiego, przez długie wieki były małym, zależnym od Polski państewkiem. Wyrosłe z Marchii Brandenburskiej, dzięki zręcznej polityce swych władców a fatalnym i dla przyszłości Polski katastrofalnym błędom Jagiellonów, rozrosły się na ziemiach rdzennie polskich, oplotły Polskę żelaznym pierścieniem i doprowadziły do jej upadku.

Kiedy pierwsi Piastowie budowali zręby państwa polskiego etniczne ziemie polskie zamieszkiwane były przez Pomorzan, Wielkopolan, Ślęzan, Małopolan i Mazowszan. Wymienione szczepy lechickie należały do wspólnej grupy językowej a obszar przez nie zajęty sięgał po Odrę na zachodzie, ujście Wisły na północy i linię Bugu na wschodzie. W tych granicach rozciągało się państwo polskie zbudowane przez, jego twórcę Mieszka I.

Bolesław Chrobry kontynuując twórcze dzieło swego ojca zamierzał włączyć do państwa polskiego resztę ziem zamieszkałych przez Zachodnich Słowian i tą drogą na rubieżach Europy stworzyć wielkie państwo słowiańskie związane najściślej z rzymską i chrześcijańską cywilizacją. Niestety wielki plan Chrobrego nie powiódł się i idea utworzenia silnego państwa polskiego zdolnego skutecznie zahamować napór germański upadła bezpowrotnie.

Upadek planów Bolesława Chrobrego nie tylko ułatwił wchłonięcie przez żywioł germański słowiańskich plemion Weletów i Obotrytów, ale odbił się na całości etnicznego terytorium polskiego. Pomorzanie bowiem wykorzystując walki Chrobrego o Miśnię i Łużyce wyłamali się z pod wspólnej organizacji państwowej i utworzyli niezależne od Polski księstwo. Dopiero Bolesławowi III Krzywoustemu powiodło się odzyskać dla Polski wschodnią część Pomorza, tj. ziemie położone naokoło Gdańska. Zachodnie Pomorze ze stolicą w Szczecinie pozostało nadal pod władzą osobnych książąt, jakkolwiek związanych stosunkiem lennym z władcami Polski.

Okres wewnętrznej słabości, przez jakie państwo polskie przechodziło w okresie podziału na dzielnice, zaznaczył się dalszym kurczeniem się wpływów polskich na ziemiach zachodnich.

Książęta polscy uwikłani w walki o tron krakowski zaniedbali swych praw do Pomorza szczecińskiego i dopuścili do tego, że w latach 1181-1188 wpływy polskie w tej części Pomorza ostatecznie upadły. Utrata kontroli nad ujściem Odry była pierwszym krokiem do utraty przez Polskę reszty ziem położonych wzdłuż biegu tej rzeki.

Drugi akt tragedii nastąpił w roku 1249, kiedy to Bolesław Rogatka, książę śląski odstąpił swe prawa do ziemi lubuskiej na rzecz arcybiskupa magdeburskiego. Prowincja ta położona u ujścia Warty do Odry zajmowała stanowisko kluczowe i zapewniała Polsce kontrolę nad pozostałymi ziemiami nadodrzańskimi. Utrata tego ważnego bastionu wysuniętego najdalej ku zachodowi pogarszała niezmiernie geograficzno-strategiczną sytuację Polski. Odwrotnie Niemcy zdobywały przez to dogodną bramę wypadową do dalszego wdzierania się w rdzenne ziemie polskie.

Istotnie margrabiowie brandenburscy, którym arcybiskup magdeburski odstąpił swe prawa do ziemi lubuskiej księcia Pomorza szczecińskiego zagarnęli ziemie leżące wzdłuż Warty między tym Pomorzem a Wielkopolską czyli t.zw. Nową Marchię (Neumark) i w ten sposób ostrym klinem odcięli Polskę od Bałtyku.

W tym czasie Marchia Brandenburska, założona w XII wieku na ziemiach wydartych nadłabskim szczepom słowiańskim, przejęła rolę odgrywaną dotąd przez cesarstwo niemieckie i stała się głównym czynnikiem ekspansji germańskiej ku wschodowi. Okrążywszy Wielkopolskę od północy, zachodu i południa parła co raz bardziej w stronę Pomorza gdańskiego.

Jednocześnie nowe niebezpieczeństwo zaczęło Polsce zagrażać ze strony Zakonu Krzyżackiego, tak nieopatrznie i lekkomyślnie osadzonego na ziemiach polskich przez Konrada Mazowieckiego Stanąwszy twardą nogą na ziemiach zdobytych na pogańskich Prusakach Zakon zwrócił się z kolei w stronę Żmudzi na wschodzie i Pomorza na zachodzie. W roku 1308 Krzyżacy wezwani przez Władysława Łokietka na pomoc oblężonemu przez Brandenburczyków garnizonowi polskiemu w Gdańsku odparli wprawdzie nieprzyjaciela ale zato sami zajęli miasto i cały przyległy okręg.

Klęski Polski dopełniły dalsze zabory Marchii Brandenburskiej. W roku 1312 Margrabia Waldemar zajął część ziem Wielkopolski położonych między rzekami Drawą, Chudą i Notecią i w ten sposób Polska odsunięta została w zupełności od Bałtyku. Jednocześnie po raz pierwszy zarysowała się niebezpieczna dla państwa polskiego dążność połączenia się obszarów dwóch państw germańskich usadowionych pod bokiem Polski.

Ostateczna utrata przez Polskę zachodnich prowincji miała miejsce po odbudowie królestwa przez Władysława Łokietka. Od roku 1327 książęta śląscy zaczęli składać hołd królom czeskim a w kilkanaście lat poźniej /1348/ po bezskutecznej walce Kazimierz Wielki zmuszony był zrzec się Śląska na rzecz Czech.

Tak więc w pierwszej połowie XIV wieku Polska odsunięta została od linii Odry tracąc po kolei ziemie położone u jej biegu. Dzięki, zdradzie krzyżackiej utraciła również kontrolę nad ujściem Wisły i dostęp do morza. Fakty te oznaczały zupełne zwichnięcie fundamentalnej zasady, jaka przyświecała pierwszym Piastom a mianowicie budowy państwa polskiego wzdłuż biegu rzeki Odry i Wisły z włączeniem wybrzeży Bałtyku leżących między ujściem obu tych rzek.

Trzeba tu stwierdzić, że dwaj ostatni królowie piastowscy dokładali wszelkich możliwych starań tak na drodze dyplomatycznej, jak i militarnej, by zjednoczonemu królestwu polskiemu przywrócić granice, jakie swego czasu zakreślone zostały genialną ręką Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Niestety usiłowania te nie powiodły się a po śmierci Kazimierza Wielkiego nie było już komu realizować wielkiej koncepcji politycznej twórców państwa polskiego.

Myśl polityczna Polski zwróciła się ku wschodowi a dzięki unii z Litwą otworzyły się widoki na odzyskanie Pomorza gdańskiego i sparaliżowanie rosnących wpływów Zakonu krzyżackiego. Trzeba było długich lat walki, zanim zjednoczonym siłom polsko-litewskim udało się wreszie złamać potęgę Zakonu i odzyskać dla Korony polskiej ziemię pomorską. Wiadomo, że wielkie zwycięstwo pod Grunwaldem nie zostało wyzyskane dyplomatycznie. Dopiero w wyniku wojny trzynastoletniej /1454-1466/ traktatem toruńskim Polska weszła ponownie w posiadanie Pomorza gdańskiego z ziemią chełmińską i biskupstwem warmińskim. Zwycięstwo to oznaczało nie tylko powrót Polski nad Bałtyk, ale również odsuwało niebezpieczeństwo połączenia się Zakonu z Brandenburgią.

Na nieszczęście Polski fatalny błąd Zygmunta I dopomógł do ponownego wzrostu złamanej zdawało by się na zawsze potęgi Prus. W roku 1525 Zygmunt I mając w swym ręku niemal całe terytorium państwa krzyżackiego zmarnował olbrzymią szansę i zamiast wcielić Wschodnie Prusy do Polski i w ten sposób częściowo powetować straty polskie na zachodniej granicy, zezwolił na sekularyzację Zakonu i stworzenie w jego miejsce świeckiego państwa z dynastią Hohenzollernów na tronie.

T.zw. trwały pokój zawarty w roku 1525 okazał się błędem, za który gorzko zapłaciły późniejsze pokolenia polskie. Hołd pruski złożony na rynku krakowskim był słabą tylko pociechą, jeśli się uprzytomni, jak fatalne następstwa pociągnęło dla Polski nierozwiązanie problemu pruskiego.

Było rzeczą oczywistą, że dążeniem linii brandenburskiej Hohenzollernów będzie uzyskanie za wszelką cenę prawa do sukcesji na tronie książęcym Prus. Ta niebezpieczna dla Polski aspiracja nabrała aktualności z chwilą, kiedy się okazało, że pruska linia Hohenzollernów grozi wymarciem. Zygmunt I, jakby dla naprawienia swego poprzedniego błędu, sprzeciwił się stanowczo planom brandenburskich elektorów. Niestety syn jego Zygmunt August zaprzątnięty wojną inflancką dopuścił w latach 1562/63 elektorów brandenburskich do sukcesji w Prusiech, przesądzając tą decyzją do reszty los tego kraju. Przed ambitnymi zamysłami Hohenzollernów brandenburskich droga stała otworem tym bardziej, że w roku 1605 udało im się uzyskać od Polski dalsze ustępstwo, mianowicie opiekę nad młodym księciem Albrechtem Fryderykiem, chorym synem założyciela dynastii książęcej w Prusiech.

W ten sposób dzięki krótkowzrocznej polityce polskiej Brandenburgia i Prusy dostały się pod wspólne panowanie i zmierzały szybko do ostatecznego zjednoczenia. Zamiast zlikwidować raz na zawsze niebezpieczeństwo pruskie i przez wcielenie Prus Wschodnich zapewnić Polsce szeroki dostęp do Bałtyku od Gdańska po Inflanty polityka polska dopuściła do wzrostu potęgi Hohenzollernów i pozwoliła na osaczenie Polski od zachodu i północy. Trudno doprawdy znaleźć usprawiedliwienie dla tego rodzaju samobójczej polityki. Jeżeli Polska w tym czasie uzyskiwała rekompensaty na wschodzie trzeba powiedzieć, że sukcesy te okupione zostały zbyt drogim kosztem.

Tymczasem polityka Hohenzollernów zmierzała konsekwentnie do wytkniętego celu. Zdobywszy tron książęcy w Prusiech, Hohenzollernowie wszczęli kampanię mającą na celu zdobycie pełnej suwerenności dla Prus Książęcych przez zwolnienie się od stosunku lenniczego w stosunku do Polski. Cel ten udało im się osiągnąć dopiero w połowie XVII wieku, kiedy to państwo polskie osłabione buntami kozackimi i wojnami z Moskwą i Szwedami zmuszone zostało do uczynienia tej dalszej koncesji z swych praw. Traktatem welawsko-bydgoskim z roku 1657 lenno Polski nad Prusami zostało zniesione.

Rozrastanie się Prus w wielkie państwo następowało szybko. Po wchłonięciu niemal całkowitym Pomorza szczecińskiego i wydarciu Polsce okręgu bytowskiego i lęborskiego, po przyjęciu przez elektorów brandenburskich tytułu królów pruskich (1701 r.) — Prusy zwróciły z kolei swój wzrok na Śląsk, który w ciągu trzech kolejnych wojen w połowie XVIII wieku zdołały oderwać od Austrii, sukcesorki korony czeskiej. Wszystkie te zdarzenia, które miały niedługo wywrzeć rozstrzygający wpływ na losy Polski odbyły się bez jej udziału.

Otoczywszy Polskę żelaznym pierścieniem od zachodniej i północnej strony Prusy dążyły teraz jawnie do połączenia swych rozdzielonych obszarów i przez zabór Pomorza gdańskiego stworzenia kurytarza prowadzącego z Prus Wschodnich do pozostałych terytoriów. Co więcej mając obecnie dwie prowincje a to Prusy wschodnie na północy i Śląsk na południu, niebezpiecznie wysunięte ku wschodowi królowie pruscy postawili sobie za cel wyprostowanie granic swego państwa przez dalszy zabór etnograficznego terytorium Polski. Plany pruskie obejmowały nie tylko Gdańsk z najbliższym okręgiem, ale w ogóle całą Polskę zachodnią.

Jak widzimy plany rozbioru Polski wcześnie dojrzały w głowach polityków pruskich. Pierwszy wyraz zewnętrzny znalazły one w traktacie zawartym z Rosją w roku 1720 i skierowanym wyraźnie przeciw Polsce. Osiągnięcie pozytywne nastąpiło w roku 1771, kiedy to Prusy biorąc udział w pierwszym rozbiorze Polski zabrały jej Pomorze, okręg położony nad Notecią i województwo inowrocławskie. Jedynie miasta Toruń i Gdańsk pozostały wtedy przy Polsce. Kiedy Prusom nie udało się zdobyć tych miast drogą szacherek dyplomatycznych z Austrią, zmieniły swą taktykę i z kolei zawarły z Polską sojusz (1790 r.) gwarantując w nim pomoc Polsce w razie ataku ze strony Rosji. Sojusz ten był jedynie instrumentem w ręku polityki pruskiej, zmierzającym do sprowokowania nowego konfliktu Polski z Rosją i doprowadzenia do dalszego rozbioru. Prusy osiągnęły swój cel i w drugim rozbiorze Polski zabrały jej nie tylko Toruń i Gdańsk, ale resztę Wielkopolski oraz okręgi łęczycki i sieradzki. W trzecim wreszcie rozbiorze Prusy zrabowały Polsce dużą część Mazowsza z Warszawą na czele.

Kiedy porównamy teraz granice Prus po trzecim rozbiorze Polski z etnograficznym terytorium polskim widzimy, że z pięciu głównych prowincji polskich trzy zostały zabrane przez Prusy a to Wielkopolska, Pomorze i Śląsk. Ponadto dochodzi do tego duża część Mazowsza. Polityka niemiecka święciła triumfy nad Polską. Z mało znaczącego państewka brandenburskiego, które Polska łatwo mogła zlikwidować czy też raz na zawsze unieszkodliwić, wyrosła dzięki tragicznym błędom polityki polskiej potęga, która powstanie swoje zawdzięcza *rabunkowi* rdzennych ziem polskich.

Większość tych ziem polskich udało się Prusom utrzymać aż do Traktatu Wersalskiego. Okres wojen napoleońskich i stworzenie Wielkiego Księstwa Warszawskiego był wprawdzie dotkliwym ciosem dla zaborczych dążności pruskich, nie mniej jednak i wtedy udało się Prusom zatrzymać przy sobie Pomorze z Gdańskiem a Kongres wiedeński przywrócił Prusom większą część Wielkopolski tak, że ostatecznie Prusy zatrzymały w swych rękach trzy piąte rdzennych ziem polskich.

Traktat Wersalski jedynie częściowo wynagrodził Polsce krzywdy dziejowe. Nie rozwiązał jednak szeregu najżywotniejszych zagadnień a przede wszystkim nie zapewnił Polsce takich granic, które mogłyby jej gwarantować bezpieczeństwo ze strony zachodniego sąsiada.

Przywrócenie Polsce odwiecznych jej posiadłości po tej wojnie przez całkowite załatwienie kwestii śląskiej, pomorskiej i Prus Wschodnich nie liczy się bynajmniej pomiędzy mrzonki utopistów czy też niepoprawnych imperialistów, ale stanowi prosty akt sprawiedliwości dziejowej.

Marek Kozaryn

POLSKA 1940

IX. — Sprawy kulturalne*

O życiu kulturalnym społeczeństwa polskiego niewiele można powiedzieć. Pewne formy, np. tajne pisma, nie nadają się do omawiania. Skoro jednak tajemnicę istnienia podziemnej prasy polskiej odsłoniły najpierw pisma angielskie, to dodam tylko tyle, że ta prasa jest stosunkowo bardzo liczna. Pisma mają jednak oczywiście charakter informacyjny, a tylko bardzo nieliczne specjalizują się w antyniemieckiej satyrze. O specjalnych czasopismach naukowych, literackich, gospodarczych—oczywiście nie może być mowy. Polityczne broszurki, zawsze małej objętości, są naturalnie także nieliczne.

To, co Niemcy drukują w języku polskim, nie może być zaliczane do literatury polskiej. Książki napisane rzeczywiście przez Polaków i z polskiej inicjatywy są bardzo nieliczne. Jakieś pouczenia prawne, jakiś fachowy poradnik kucharski, jakieś dziełko religijne, zaczęte już przed wojną—to prawie wszystko. Jaką szkodę ponosi kultura polska, można ocenić, gdy się uwzględni, że przed wojną w Polsce wychodziło blisko 2 tys. czasopism (w tym co prawda kilkaset mniejszościowych)i około 8 tys. książek corocznie.

Tym większe zainteresowanie budzą oczywiście stare książki, zgromadzone w wielkich bibliotekach i wypożyczalniach. Wypożyczalnie są na ogół dostępne. Jeszcze w pierwszej połowie 1940 roku czynne były także żydowskie wypożyczalnie, później tylko chrześcijańskie. Zazwyczaj były one przepełnione. W bibliotece T.S.L., z której jakiś czas korzystałem (na podstawie legitymacji znajomego), trzeba było czasami czekać dwie godziny, nim się uzyskało książkę. W braku czasopism, kino-teatrów, koncertów, przedstawień teatralnych—bezrobotna inteligencja zabija czas lekturą książek albo też grą w bridża.

Gdy chciałem się zapisać na członka, by uzyskać własną legitymację, odmówiono mi z tym uzasadnieniem, że wobec przepełnienia przyjmowanie nowych abonentów jest rzeczą niemożliwą. Próbowałem "przekupić" kierowniczkę biblioteki, ofiarowując jakiś skromny dar. Przyjęła—po namyśle—Mały Rocznik Statystyczny 1939 r., natomiast o książeczce treści wojskowo-politycznej powiedziała: "To nieaktualne."

Zrozumiałem lepiej te słowa trochę później, gdy przeniósłszy się do większego miasta korzystałem z innej wypożyczalni, znacznie mniej przepełnionej. Katalog był już "wyczyszczony." Czy przez Niemców osobiście, czy przez kierownika wypożyczalni według ogólnych instrukcyj niemieckich, tego nie wiem. W każdym razie spustoszenie było ogromne. Nie było jeszcze nowego katalogu, jeno w starym zasmarowane były niektóre tytuły, tak jednak, że od biedy dało się je odcyfrować. A więc oczywiście zniknęły dzieła gen. Sikorskiego, gen. Kukiela oraz wielu innych pisarzy. Zasadniczo usuwano to wszystko, co dotyczyło polityki Polski oraz stosunku do Niemców. "Czystka" dotknęła także pisarzy angielskich i francuskich, ale niektórzy ocaleli, może przez pomyłkę. Np. czytałem tłumaczenie pamiętników słynnego płk. Lawrence'a "Bunt Arabów." Być może, iż cenzor osądził, że bunt Arabów to musiało być coś antyangielskiego, no bo przecież Arabowie "jęczą pod jarzmem angielskim," jak to stale twierdzą agenci Goebbelsa.

Najbezwzględniejszą, prawdziwie drakońską czystkę przeprowadzono w Warszawie. Skreślono tam—jak niektórzy obliczają—z katalogów około 3 tys. tytułów. Skreślano nie tylko nowsze książki, lecz i stare, np. Kochanowskiego "Proporzec." Skreślono nie tylko Sienkiewicza, ale i dużo dzieł Kraszewskiego (np. "Starą Baśń") i Mickiewicza. Czystka jest tak bezwzględna, że jeśli jakiś mały utwór znajduje się w zbiorowym wydaniu pism danego autora (np. "Konrad Wallenrod"), to musi być usunięte również to zbiorowe wydanie. Usunięto książki, których tematem były historia, geografia lub konstytucja Polski. Usunięto setki książek ekonomicznych i politycznych. Nie oszczędzono również przewodników turystycznych, jeśli dotyczą terenów wcielonych do Rzeszy. A więc np. przewodniki po Poznaniu, Toruniu, Gdyni, Śląsku, Łodzi—to wszystko musi zniknąć. Polacy mają zapomnieć, że kiedykolwiek te miasta posiadali.

Przy tej czystce nie obeszło się bez pomyłek, które mogłyby być zabawne, gdyby cała sprawa nie była tak bardzo smutna. Np. była książka dla małych dzieci o drapieżnych ptakach i różnych szkodnikach ogrodowych i polnych, zatytułowana "Nasi nieprzyjaciele." Cenzor osądził, że to z pewnością o Niemcach i skreślił ją. Ten sam los spotkał Reymonta "Ave Patria," choć polski pisarz wysławiał tam bohaterstwo Japończyków, sojuszników Niemiec.

By ukryć rozmiary tej rzezi książek, nakazano sporządzać nowe katalogi i to alfabetyczne, bez podziału na działy rzeczowe. W przeciwnym bowiem razie abonenci przekonaliby się, że z działów "Historia" lub "Polityka" nie zostało prawie nic.

Na terenach wcielonych do Rzeszy los książki polskiej jest znacznie smutniejszy. Przede wszystkim tam zasadniczo w ogóle nie może istnieć żadna polska księgarnia lub wypożyczalnia. Z księgozbiorów prywatnych poginęło bardzo wiele w czasie barbarzyńskich wysiedlań. Wielkie biblioteki (np. Uniwersytetu w Poznaniu) zostały skomasowane i oddane uczelniom niemieckim. W jakim stopniu uszczuplono dział książek polskich, tego dokładnie nie wiadomo. Sądzić należy, że nie niszczono wszystkich dzieł polskich, choćby dlatego, że potrzebne są niemieckim uczonym i publicystom do "naukowych" rozpraw o polskim imperialiźmie i gnębieniu Niemców. Z drugiej strony słyszałem o zabieraniu całych nakładów książek polskich ze składów wydawniczych i wywożeniu do papierni celem przerobienia na papier.

W Krakowie i Warszawie również złączono najrozmaitsze biblioteki, co oczywiście spowoduje niesłychany chaos, nie mówiąc już o stratach przy niedbałym transporcie książek. Wątpię, by najcenniejsze rękopisy, mapy, druki—pozostały w Polsce. Trudno stwierdzić stan istotny, bo z tych wielkich bibliotek mogą korzystać tylko Niemcy lub Polacy, pracujący dla instytucyj niemieckich, robiący wyciągi z książek polskich i tłumaczący je na język niemiecki. Przy całej bowiem tak często manifestowanej pogardzie dla kultury polskiej Niemcy wiedzą doskonale, że nie mogą się obyć bez książek polskich, gdy chodzi np. o geologię Polski oraz etnografię ziem wschodnich i o Rosję.

Księgarnie w Gen. Gubernatorstwie były w ubiegłym roku otwarte i sprzedawały książki polskie, ale okna wystawowe były zazwyczaj zapchane mapami i książkami z Rzeszy. Musiały to czynić te zwłaszcza księgarnie, które znajdowały się przy Adolf Hitler Platz. Mniejsze księgarnie też zabezpieczały się wystawiając druki niemieckie, lecz były i takie, które uważały sobie za punkt honoru nie mieć ani jednej książki niemieckiej.

Jak wiadomo, Niemcy zorganizowali t.zw. teatr polski w Warszawie, zezwolili na otwarcie niektórych kino-teatrów etc. Robią to w tym celu, by stworzyć pozory tolerancji i chociaż częściowo oderwać uwagę Polaków od spraw politycznych. Wszystko to ma być rozrywką, ale nie może służyć do kształcenia i pogłębienia kultury duchowej Polaków. Poufne okólniki niemieckie wyraźnie podkreślają, że muzyka może bawić Polaków, ale nie może być dla nich artystycznym przeżyciem. Nie ma też żadnych zastrzeżeń przeciwko trywializowaniu (*Verflachung*) programów widowisk w kawiarniach lub teatrze, natomiast poważny repertuar jest dla Polaków zabroniony. Z tym łączy się celowe szerzenie wydawnictw pornograficznych, udostępnianie alkoholu, założenie kasyna gry w Warszawie, dostępnego tylko dla Polaków etc.

Jest też rzeczą charakterystyczną, że istnieją w Warszawie niektóre pracownie naukowe (np. przy Politechnice) z polskim personelem naukowym, ale nauczanie oraz prowadzenie jakichkolwiek badań naukowych jest wzbronione. Niemcy woleliby, żeby takich pracowni nie było, ale gdy już z ciężkim sercem pogodzili się z tym, że są niezbędne np. dla badania żywności, obserwacyj meteorologicznych, studiów geologicznych,—to przynajmniej pilnują, aby broń Boże jakiś młody Polak czegoś się nie nauczył. Polacy bowiem to "*Hilfsvolk*," dostarczający robotników rolnych i fabrycznych.

Szkoły powszechne są dozwolone, bo przecież robotnik musi umieć pisać i czytać, by mógł się podpisać na liście obecności w fabryce i przeczytać napisy na maszynach. Ale twórczość kulturalna—nie, to jest absolutnie niedopuszczalne. Wolno też Polakom chodzić do szkół fachowych, bo Rzeszy potrzeba ogrodników, mechaników, techników, ale budynki uniwersyteckie są nadal zajęte przez oddziały wojska i Gestapo. Obniżenie poziomu kultury w Polsce jest wyraźnym celem polityki niemieckiej.

Zachodzi pytanie, czy pozostanie po Niemcach coś trwałego w dziedzinie życia kulturalnego? Wiemy, że w dziedzinie techniki coś budują; przybędzie trochę dróg, może i fabryk przemysłu wojennego. Ale w zakresie kultury jest inaczej. Niemcy nie budują nowych gmachów teatralnych, bo wystarczają im te, które zagrabili Polakom. Kino-teatry, domy ludowe, których wartość artystyczno-kulturalna jest oczywiście rozmaita, są również w ogromnej większości zagrabione Polakom. Nie budują Niemcy nowych gmachów bibliotecznych ani hal koncertowych ani muzeów. Ba, nawet rozbierają niedokończony gmach muzeum w Katowicach. W Poznaniu nie zbudowano żadnego nowego budynku, żadnego laboratorium. Na Pomorzu nie powstała żadna nowa szkoła wyższa poza medyczną akademią morską, którą przenosi się z Kilonii do Gdańska ze względu na naloty RAF. Szkoły górnicze na Śląsku korzystają z polskich budynków i przyrządów naukowych.

Jeżeli więc tu i ówdzie w zachodniej Polsce zastaniemy może trochę więcej książek, to będzie w nich dużo śmiecia propagandowego, a to wszystko będzie niczym wobec olbrzymich szkód kulturalnych, jakie Polska poniosła skutkiem spalenia wielu bibliotek, muzeów, archiwów, pracowni, skutkiem rabowania polskich dzieł sztuki, zabytków, dokumentów i skutkiem prześladowania polskich uczonych i artystów.

Stanisław Zatorski

* Por poprzednie artykuły cyklu: "I. Jak się po niej podróżuje," druk. w nr. 5. "II. Co się widzi z okna pociągu i na ulicy," druk. w nr. 7; "III. Co myśli i czuje społeczeństwo pod okupacją," druk. w nr. 8; "IV. Warunki zarobkowe i aprowizacyjne," druk. w nr. 9; "V. Stosunek do okupantów," druk. w nr. 10; "VI. Stosunki narodowościowe," druk, w nr. 13; "VII. Masa chłopska wobec najeźdźcy," druk. w nr. 15-16; "VIII. Kolonizacja niemiecka," druk. w nr. 19 "Polski Walczącej."

Gdynia pod okupacją niemiecką*

W szponach Gestapo

Jaki był cel utworzenia w Gdyni prowizorycznych obozów koncentracyjnych i osadzenia w nich wszystkich mężczyzn?

Niemcy sami opowiadali, że chcieli w ten sposób z góry uniemożliwić Polakom w Gdyni zrobienie takiej "rzezi," jakiej rzekomo dokonali na mniejszości niemieckiej w Bydgoszczy. Bajkę bydgoską w najrozmaitszych wersjach opowiadali nam wszyscy żołnierze niemieccy, z czego łatwo wnioskować, iż została specjalnie opracowana, aby stać się pretekstem do najgorszych represyj wobec Polaków.

Naturalnie w opowiadania Niemców nikt z nas nie uwierzył. Tym bardziej dręczyły nas pytania, po co Niemcy uwięzili 35-tysięczną rzeszę mężczyzn?—co z tą masą zamierzają zrobić?

Na odpowiedź nie czekaliśmy długo. Gdy wszyscy mężczyźni w wieku od 16 do 60 lat zostali osadzeni w obozach—okupanci zaczęli plądrować miasto. Zbyteczne rozpisywać się na temat ich "wizyt" w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej, zakładach przemysłowych, bankach i wielkich firmach portowych. Nie oszczędzili także żadnego sklepiku, nawet żadnego mieszkania. Kradli wszędzie, co tylko się dało—nie tylko każdy cenniejszy przedmiot, jak biżuteria, aparaty fotograficzne, gramofony i futra, ale również płaszcze, ubrania, obuwie, bieliznę i t.p.

Przez wiele dni na ulicach Gdyni widać było dziesiątki samochodów ciężarowych i wielkich wozów, obładowanych zrabowanym dobytkiem Polaków. W głąb Niemiec i do Gdańska wywożono całkowite urządzenia sklepów, banków (np. Banku Polskiego i Państwowego Banku Rolnego) oraz najlepsze meble z mieszkań prywatnych. Ciekawe, że specjalnie chętnie okupanci kradli kwiaty i krzewy domowe, zwłaszcza palmy.

Ale to nie był jedyny powód. Dla Niemców, zwłaszcza dla tych z Gdańska, Gdynia była głównym bastionem w walce z zalewem germańskim, ona najpilniej czuwała nad tym, by Gdańsk przestrzegał swych obowiązków wobec Polski. To też nic dziwnego, iż do Gdyni Niemcy wchodzili już z gotowym planem rozprawienia się z każdym, kto kiedykolwiek czynnie występował przeciw "rasie panów." I właśnie ten plan zemsty był głównym motywem, dla którego uwięziono 35 tysięcy mężczyzn.

Ów plan zemsty został już na długo przed wojną niezwykle starannie opracowany. Wystarczy powiedzieć, iż każdy agent Gestapo i członek "sztafet ochronnych". (S.S.) otrzymał specjalną drukowaną broszurę, zawierającą nazwiska tych wszystkich Polaków, którzy Niemcom dali się szczególnie we znaki. Zbyteczne dodawać, że ta "czarna lista" była dziełem gdyńskiej "piątej kolumny."

Jednak sama lista Niemcom nie wystarczała. Nie zawierała przecież ani rysopisów, ani fotografii "przestępców." Dlatego też listę uzupełniali — gdyńscy agenci "piątej kolumny," którzy dobrze obeznani w miejscowych stosunkach—wskazywali . . . kogo należy traktować jako specjalnie groźnego wroga Rzeszy.

Z kogóż rekrutowała się gdyńska kadra "piątej kolumny"? Wielu weźmie mi może za złe, iż poruszam tę sprawę. Ale wydaje mi się, że powinien ją znać każdy, abyśmy w przyszłości nie popełnili błędów, które w obecnej wojnie tak fatalnie się na nas zemściły. Głównymi siedzibami agentów "piątej kolumny" w Gdyni były rozmaite międzynarodowe firmy, których nasze miasto, jak każdy port, posiadało stosunkowo dużo. Naturalnie na pierwszy plan wysuwają się firmy niemieckie, w których roiło się od szpiegów. Prócz tego także w szeregu wielkich firm portowych, w których decydowali Polacy, znaleźli się "kolumniści." Byli nimi rzekomo lojalni obywatele polscy narodowości . . . niemieckiej. Tego rodzaju agenci Gestapo znajdowali się nawet—niestety—w przedsiębiorstwach użyteczności publicznej i w urzędach.

Ci agenci, wraz z licznymi urzędnikami Gestapo, zabrali się najgorliwiej do regulowania "porachunków" z Polakami. A trudno to nie było—przecież wszyscy mężczyźni, unieszkodliwieni, znajdowali się za ogrodzeniami "obozów koncentracyjnych." Należało teraz tylko wyciągnąć z pośród tej masy "winnych przestępstwa walki z niemczyzną."

Aby dać pogląd jak odbywało się owe "sortowanie" więźniów, opowiem własne przeżycia z tych ponurych dni. Po nocy spędzonej na korcie tenisowym, znalazłem się w kinie "Gwiazda." Tam, stojącego za kratami głównych drzwi wejściowych, zauważył mnie znajdujący się już na wolności jeden z pracowników technicznych mego wydawnictwa. Aby mnie wydostać z więzienia postanowił wykorzystać fakt, iż dopytywał się o mnie sam . . . Wilhelm Zarske, wówczas szef propagandy w Gdańsku, naczelny redaktor organu hitlerowców gdańskich "Der Danziger Vorposten" i zarazem adiutant Greisera i Förstera, dziś zaś szef propagandy "Generalnego Gubernatorstwa" i prawa ręka Franka. Jak później dowiedziałem się, Zarske szukał prócz mnie jeszcze kilku innych dziennikarzy polskich z Gdyni, chciał bowiem, abyśmy w lokalach "Kuriera Bałtyckiego" wydawali pod jego kierownictwem "Dziennik Polski" . .

W ten sposób na skutek przypadkowej interwencji znalazłem się w biurze Gestapo, urzędującego wtedy w gmachu Banku Zachodniego. Miano zadecydować, czy można mnie wypuścić na wolność. . . . Banda, przed którą stanąłem, składała się z cywilnych agentów Gestapo oraz z umundurowanych S.S.-manów. Między tymi ostatnimi spostrzegłem dobrze mi znaną twarz pewnego Niemca, obywatela . . . Gdyni.

Przewodniczącym owego "trybunału" był typ, żywo przypominający bohaterów kryminalnych "pamiętników" p.t. "W szponach Gestapo," które przed wojną ukazywały się na łamach polskiej prasy brukowej. Każde jego zdanie przesiąknięte było jadem nienawiści do wszystkiego co polskie, przy czym słowo "*Schwein*" należało do najłagodniejszych w jego repertuarze.

Spytano się o moje personalia. Spokój panował dopóty nie podałem swego zawodu. Gdy usłyszeli, że jestem dziennikarzem—niespodzianie wszyscy mną się zainteresowali. A gdy dodałem, że jestem współredaktorem "Kuriera Bałtyckiego," zrobili miny triumfatorów. Jakby chcieli powiedzieć: "a mamy cię ptaszku."

Zrozumiałem też, że jestem "wykończony."

Jeszcze przez chwilę miałem złudzenie, że zostanę zwolniony, gdyż okazało się, iż moje nazwisko nie figuruje na "czarnej liście" Gestapo. Gdy jednak przewodniczący na liście tej pod literą "K" znalazł uwagę, że należy przytrzymać wszystkich redaktorów "Kuriera Bałtyckiego"—zadecydowano, że zostanę osadzony w specjalnym obozie. Nie pomogła nawet uwaga jednego z agentów, iż szuka mnie sam Wilhelm Zarske.

Krótko po mnie ten sam "trybunał" przesłuchiwał mych dwóch braci. Nie "obciążał" ich ani zawód, ani instytucje, w których pracowali, więc postanowiono ich wypuścić. W międzyczasie jednak jeden z nich zdradził się, iż ma . . . brata-redaktora "Kuriera Bałtyckiego." To wystarczyło. Obaj bracia podzielili mój los.

W podobny sposób badano całą 35-tysięczną rzeszę więźniów gdyńskich. Kto figurował na "czarnej liście" lub kogo wskazał agent "piątej kolumny," tego odsyłano do specjalnego obozu. Taki los spotkał m.in. jednego z moich znajomych, który—zajmując wyższe stanowisko w szkolnictwie—usunął swego czasu ze szkoły pewnego nauczyciela, z pochodzenia Niemca, za uprawianie propagandy—antypolskiej. Ów nauczyciel właśnie, znalazłszy się pomiędzy . . . gdyńskimi agentami Gestapo, postarał się o uwięzienie swego byłego przełożonego (którego później podobno rozstrzelano).

Z pośród 35 tysięcy więźniów "wysegregowano" w ten sposób ponad 3.000 "przestępców." Osadzono ich wszystkich razem na . . . pojedyńczym korcie tenisowym "Żeglugi Polskiej," a jako straż przydzielono im nie tylko specjalne oddziały "sztafet ochronnych" (S.S.), ale nadto dwa . . . auta pancerne z ciężkimi karabinami maszynowymi, gotowymi do strzału.

Wiesław Waligórski

* Por. tegoż autora: "Z kampanii wrześniowej—obrona Gdyni i Oksywia," druk. w nr. 6 oraz pierwszy artykuł tego cyklu: "Obozy koncentracyjne," druk. w nr. 19 "Polski Walczącej."

"Jaka Ona będzie"

Pierwszy numer nowego pisma żołnierskiego I-szej Brygady Strzelców "Odwet" przyniósł artykuł, zmuszający do przemyślenia i jasnego postawienia kilku dość zasadniczych zagadnień dla ukształtowania oblicza ideowego naszej emigracji.

Można się całkowicie podpisać pod wnioskami jasnego, odważnego i słusznego artykułu Wiktora Winiarskiego: "Mundur to nie wszystko." Oddaje on bardzo dobrze przebieg procesów myślowych i uczuciowych Kraju, widać że pisał go człowiek, który nie należy do "emigracji zmotoryzowanej," czuje się też doskonale i od razu, że jest to ktoś, kto przeżywał sam rzeczywistość Kraju.

Tak to prawda, że "wszystko co było polską rzeczywistością w dniu 31-szym sierpnia 1939 roku bezpowrotnie się skończyło, że żadna stara partia, ani doktryna polityczna nie jest w stanie trwać dalej." Tak to prawda, iż "okazało się, że przedziały partyjne nie pokrywały się już z istotnymi różnicami pomiędzy Polakami, podziały rasowe stały się równie nieistotne jak podziały klasowe."

Ale tak stawiając zagadnienie trzeba sobie nie mniej uświadomić z drugiej strony, że dawne stronnictwa polityczne istnieją, że ruch polityczny zeszedł w podziemia, że w mrokach konspiracji dokonywa się wielka praca myślowa, że trwa pewien ferment polityczny, na razie nie mogący się ujawnić. Ten ferment przeobraża ideologię ruchów polityczno-społecznych, które w Polsce istniały przed wrześniem.

W ogniu przeżyć wynikłych na tle zetknięcia się z komunizmem dość liczni na skrajnej lewicy polskiej zwolennicy "szerokiego frontu ludowego" wyzbywają się swoich sympatii prokomunistycznych. Przeżywają oni głębokie rozczarowanie, wynikłe na tle częstej sytuacji dziejowej: zetknięcia wymarzonego ideału społecznego z ponurą rzeczywistością codziennego bytowania, jakże boleśnie odległego od ich mrzonek. Uczciwsi z nich, u których nie wygasło całkiem poczucie narodowe, patriotyczne, otwarcie przyznają się do swej tragicznej pomyłki. Przesuwają się oni w swych poglądach społeczno-politycznych, ogromnie na prawo.

Ten sam ferment myślowy dokonuje się i na prawicy polskiej. Są pewne dane do przypuszczenia, że najskrajniejszy odłam naszych młodych "totalniaków," zetknąwszy się oko w oko z przygniatającą zmorą ustroju totalnego, wyzbędzie się swego niewczesnego zachwytu dla nowoczesnego cezaryzmu, obojętnie czy będzie on maści faszystowskiej, czy zgoła hitlerowskiej. Są znaki na niebie świadczące, że z repertuaru słownictwa politycznego tej grupy zniknie chyba biadolenie nad "zgniłym ustrojem demoliberalnym."

Młody onerowiec na bruku londyńskim po klęsce Francji zwierzał mi się, że przestał wierzyć w dwa kanony, w dwa dogmaty swego poglądu na świat: wszechpotęgę masonerii i żydów. Takie przyznanie to już jawny dowód, że wypadki dziejowe zmuszają do rewizji najbardziej zastarzałych haseł i przyzwyczajeń myślowych. Może ci młodzi, którzy się tu nagle mienią zwolennikami demokracji, robią to tylko ze względów taktyki. Ale miejmy nadzieję, że tych z nich, którzy zostali w Kraju, a przecież to oni właśnie tworzą przytłaczającą większość, życie wyleczy radykalnie z ich dawnych sympatyj. Rewizja dawnych nawyków myślowych, dawnych utartych i zdawało by się nie dających się niczym strząsnąć kolein myślowych trwa w kraju ciągle i bezustannie.

W Polsce dokonywa się coś w zakresie procesów myślowych, co by można nazwać zbliżaniem ludzi z dawnej lewicy i prawicy ku centrum. W tych procesach myślowych ośrodkiem nadziei dla wielu ludzi w Kraju stają się te dwie siły społeczne, które kryją w sobie wielkie możliwości, a którym rozwój dziejowy nie pozwolił w pełni ujawnić wszystkich swych możliwości. Siłami tymi są: katolicyzm i masa chłopska. Będzie to katolicyzm, rozumiejący potrzebę reform społecznych, ten katolicyzm, który w Polsce symbolizowały nazwiska Korfantego i Piwowarczyka.

Proces przemian myślowych wciągnął w tryby swego oddziaływania i to pokolenie ludzi 30 czy 40-to letnich, których ustrój na wpół dyktatorski życia politycznego Polski przedwrześniowej usuwał poza obręb tego życia, nie dawał im możności wyżycia się polityczno-społecznego, skazywał ich na rolę widzów. To pokolenie, wychowane już w polskiej szkole, w polskim uniwersytecie, związane pracą swą z polską państwowością, dla którego okres niewoli był już tylko pojęciem historycznym—przeżyło upadek państwa najgłębiej chyba, ono nie chce wrócić w nowej Polsce do roli biernego widza. W tym pokoleniu budzą się ambicje czynnego kształtowania tego życia, a ponieważ na pokoleniu tym spoczywa istotny ciężar pracy konspiracyjnej w Kraju, nic więc dziwnego, że ono z niepokojem i troską nawraca wciąż ku zagadnieniu wizji nowej Polski jutra.

Ujmującą stroną artykułu p. Winiarskiego jest pewna okoliczność, z której na emigracji zdają sobie doskonale sprawę ci, co wyszli z Kraju później, choć nie zarysowuje się ona z dostateczną wyrazistością dla "emigracji zmotoryzowanej.". Jest nią fakt, że "właściwe potrzeby Polski lepiej wyczuwają" ludzie Kraju niż emigranci. Stąd jakże arcysłuszny postulat autora artykułu, że rozważania nasze winny stale być "korygowane według myśli rozwijających się w Kraju."

W rzeczywistości bowiem w Kraju istniała bardzo ostra i wyraźnie sformułowana świadomość, że do ukształtowania oblicza ideowo-politycznego nowej Polski powołany jest tylko Kraj, a nie emigracja. Myśl ta dochodziła do ujęć bardzo nieraz ostrych. Przy całym entuzjaźmie dla odradzającej się armii polskiej we Francji, jakże często powtarzano w Kraju w najrozmaitszych kołach, że wojsko nie może wyjść poza obręb zadań czysto militarnych, że Kraj nie ścierpiał by nowych uroszczeń politycznych wojska.

Lekcja wrześniowa nie poszła tu na marne. W Polsce ugruntowało się dziś jak najsilniej przekonanie, że niemożliwością i absurdalnością byłaby jakakolwiek próba rządów czysto wojskowych. Doświadczenie rządów "grupy pułkowników," jak drzazga raniąca tkwi w świadomości społeczeństwa. I to jest wielki zysk "września" dla obozu polskiej demokracji.

Ale artykuł p. Winiarskiego jest jeszcze z jednego względu bardzo znamienny dla nastrojów dzisiejszych emigracji. Podskórnie a natrętnie wciąż nawraca w nim to pytanie, które dławi nas i niepokoi wszystkich: "Jaka Ona będzie"? To pytanie nurtuje wśród myślącej części zarówno wojskowej, jak cywilnej emigracji. Trzeba jak najśpieszniej dać możność ujawnienia się dyskusji na ten temat, gdyż rzeczywiście "poczucie pustki jest co raz większe," Kraj rzeczywiście pracuje pod tym względem intensywniej od nas.

Ale otwierając możliwości dla takiej dyskusji, nie można spuszczać z oka kilku momentów. Utajenie nurtu życia politycznego w Kraju, ciągła jego zmienność w związku z narastającym biegiem wypadków, całkowita różność doznań w obu okupacjach—oto momenty, które są zaporą dla kontroli, czy doznania nasze idą równolegle z myślą w Kraju. Jesteśmy tu ciągle skazani na pomyłki, jesteśmy ciągle zmuszeni do ustawicznej rewizji naszych myśli.

Zachodzi jeszcze jedna trudność. Wysiłek wojskowy, i wprzęgnięty w jego służbę wysiłek świata techniki, gospodarstwa i przemysłu tak całkowicie pochłaniają wszystkie siły żywotne, całą energię i dynamikę, iż z konieczności myślenie na tematy społeczne, teoretyzowanie, schodzi trochę na plan dalszy. To jest słuszne. Ale jednocześnie trzeba pamiętać, że przecie wojna dzisiejsza ma wybitnie charakter starcia poglądów na świat: walki na śmierć i życie demokracji z totalizmem.

Doktryna totalistyczna, uboga myślowo, prężna bo odwołująca się do instynktów i uczuciowej, wzruszeniowej strony życia człowieka jest maską dla bezkresnych ambicji pangermanizmu. Jest ona próbą całkowitego zatracenia życia jednostki na rzecz molocha państwa, utożsamiającego się z monopartią. Myśl demokratyczna przeżywa dziś niewątpliwie swój kryzys. To trzeba sobie otwarcie powiedzieć. Nie walczymy o demokrację w tym pojęciu, jak ją rozumiał wiek XIX-y. Świat pojęć tego wieku leży w gruzach. Po tej najstraszniejszej wojnie musi się zrodzić demokracja społeczna. Musi ona przynieść nie tylko demokratyczny ustrój polityczny narodom podbitym przez hitleryzm, ale także sprawiedliwszy ustrój społeczny, bardziej równomierny podział dochodu społecznego.

Anglia po wojnie światowej przeżyła wielką przemianę społeczną. Przeżyje ją napewno w skali o wiele większej po wojnie obecnej. Możemy być spokojni i pewni, że ten lud angielski, który z takim samozaparciem i męstwem znosi bombardowanie, ten lud, który wypełnia dziś kolejki podziemne Londynu—że on po wojnie powie swe decydujące słowo o obliczu społecznym Anglii. Zgodnie z duchem, który przenikał zawsze Anglię, duchem postępu, rozwoju i doskonalenia będzie to napewno coś bliskiego ideału sprawiedliwości społecznej a najdalsze od komunizmu. Lekcja obłudy Stalina w tej wojnie, wywożenie Polaków na Sybir, zniszczenie niepodległości państw bałtyckich muszą zwolna, ale ostatecznie, rozpraszać resztki sympatii komunistycznych na lewicy angielskiej. My powinniśmy przyczyniać się do przyśpieszania tej przemiany.

Jakie będzie dokładne oblicze tego nowego jutra Europy nikt dziś przewidzieć nie może. Ale ono rodzi się dziś już. Rodzi się w dyskusjach angielskiej prasy i czasopiśmiennictwa, w wysiłku sfer rządowych usiłujących sformułować cele wojny. Jego echa brzmią w rozważaniach uczonych i wychowawców, czego dowodem ostatni zjazd pedagogiczny w Oxfordzie. Dźwięczy ono w dyskusjach związków zawodowych, płącze się napewno w namiocie żołnierskim i w fabryce przemysłu wojennego. Wsłuchać się jak najmocniej w to tętno rodzącego się nowego świata idei—to istotne zadanie naszego świata publicystyki tutaj. Spada ten obowiązek szczególnie na tych, którzy mają wyrobioną od dawna znajomość świata anglo-saskiego. Jest to trud godny podjęcia. Daleko bardziej płodny i owocny, niż tanie felietonowe rozlzawienie sentymentalne, lub łatwy patos kaznodziejski, jaki nazbyt często teraz tu się na nas wylewa.

Adam Ordęga

O ANGLII I ANGLIKACH

EMIGRACJA NIEMIECKA WW. BRYTANII — ZABIEGI PRZED WOJNĄ—AKCJA PO WOJNIE—CELE I ZAMIARY—POLSKA OPINIA WINNA BYĆ CZUJNA.

Niedawno na łamach "*Wiadomości Polskich*" pojawił się artykuł p. Brynickiego, gdzie w sposób ciekawy i rzeczowy przedstawiono akcję emigracji niemieckiej w Anglii. Sprawa poruszona przez autora jest tak aktualna i tak godna uwagi polskiej opinii, że warto dorzucić słów parę dla ogólnej orientacji.

Emigracja niemiecka i austriacka w Anglii oraz w Stanach Zjd. nie jest zjawiskiem nowym. Na długo przed wojną przybyli do obu krajów liczni uchodźcy polityczni. Byli wśród nich ludzie mniej lub więcej wybitni: politycy, dziennikarze, publicyści, lekarze, inżynierowie, ludzie nauki. Nie była to na ogół emigracja zupełnie finansowo bezradna: wydobyli oni w ten czy inny sposób pewne zasoby z Rzeszy i starali się stworzyć sobie byt w Anglii czy Stanach.

Bardzo często zdołali ci emigranci zdobyć sobie podstawy bytu. Posiadali ruchliwość; nie zapominajmy, że emigrantowi zawdzięcza prasa angielska powstanie miesięcznika "Lilliput" a potem tygodnika "Picture Post." Emigranci pisali książki i artykuły o Rzeszy: książki szły szybko na rynku, albowiem przed wojną był głód wiadomości o Rzeszy, tej "innej" Rzeszy, która nie godzi się na Hitlera.

Trzeba przyznać emigrantom niemieckim sprawiedliwie, że byli pracowici, zapobiegliwi, doskonale zorientowani w sprawach kontynentu. Nic więc dziwnego, że wiele pism angielskich korzystało z ich usług, że wielu dziennikarzy niemieckich i austriackich szybko wsiąknęło w prasę brytyjską.

Sprawiedliwość każe stwierdzić także, że po dziś dzień emigracja niemiecka i austriacka ma dobre "chody" w prasie i że artykuły publicystów niemieckich i austriackich pojawiają się częściej w prasie angielskiej, aniżeli artykuły—pisarzy innych emigracyj, emigracyj narodów sprzymierzonych.

* * *

Sprawiedliwość każe stwierdzić także, że emigracja niemiecka informowała opinię brytyjską przed wojną *fałszywie* w wielu sprawach związanych z Rzeszą. Przesadzano znaczenie i siły tzw. czarnego frontu Strassera i całej podziemnej roboty lewicowej, przesadzano popularność wygnanych polityków, a co najgorsze—przedstawiano sytuację polityczną, militarną i gospodarczą Rzeszy w katastrofalnym świetle. Emigracja niemiecka oddała niedźwiedzią przysługę Anglii przez stałe lekceważenie siły militarnej i sprytu organizacji gospodarczej Niemiec.

Dzisiaj ta emigracja nie śpi. Drukuje książki, książki dobrze pisane, zręcznie podawane, sugerujące pewne rzeczy, które wyglądają na pozór niewinnie, ale które obliczone są na wytworzenie w Anglii wrażenia, że jednak istnieje "inna Rzesza," że co najmniej połowa Niemców cierpi i toleruje Hitlera i że Niemcy mają prawo, ażeby po wojnie zająć jakieś uczciwe miejsce w zespole rodzin świata. Mało uczciwe—doskonałe.

Hermann Rauschning przez swoje książki "*Rewolucja nihilizmu*" oraz "*Hitler mówi*" ugruntował sobie w Anglii sławę najlepszego znawcy Hitlera. Nie ulega kwestii, że Rauschning jest zafascynowany Hitlerem i że jego filozofia jest pewnego rodzaju filozofią katastrofy. Rauschning nie miesza się do spraw przyszłości, zostawia te sprawy dyskretnie do uznania Anglii, ale z jego ostatniej książki pt. "*Bestia z otchłani*" wywnioskować można, że liczy na łagodność sprzymierzonych po wygraniu wojny i że Rzeszy nie potraktuje się najgorzej. Przekonany jest on także, że w Niemczech są żywioły neo-konserwatywne, które nie dopuszczą do całkowitej zagłady "dawnych Niemiec."

Sebastian Haffner (pseudonim) uzyskał sobie trzema książkami wydanymi kolejno (pierwsza nosiła tytuł: "*Dwa oblicza Rzeszy*") dobre nazwisko w Anglii. Dziennikarz dużej klasy, obrotny, z dobrymi podstawami wiadomości jest Haffner przedstawicielem teorii, że w duszy niemieckiej walczą dwie dążności, jak w owej opowieści angielskiego pisarza doby ubiegłej R. L. Stevensona o panach Hyde i Jekyllu (stąd angielski tytuł pracy Haffnera). Haffner powiada otwarcie, że trzeba podać dłoń tej właśnie innej Rzeszy, że trzeba pomóc emigracji niemieckiej, jako najlepszemu wyrazowi tej właśnie umęczonej Rzeszy i że Niemcy winny po wojnie należeć do "europejskiej wspólnoty narodów" urobionej na wzór i podobieństwo Imperium Brytyjskiego, *British Commonwealth of Nations*.

Haffner jest dzisiaj redaktorem pisma codziennego *Die Zeitung*, które—bądźmy sprawiedliwi—jest najlepiej redagowanym pismem codziennym w języku obcym w Anglii. Poziom *Die Zeitung* jest wyborny i winien być wzorem dla innych pism. Pismo to wie, że tylko wysokim poziomem sztuki pisarskiej można trafić do Anglików. *Die Zeitung* jest czytane przez Anglików. Ma za sobą poparcie urzędowe.

* * *

Emigracja niemiecka znajduje się w ofensywie intelektualnej na terenie Anglii. Działa ona także w Ameryce. Niedocenianie jej wpływów, jej przedsiębiorczości, jej pracowitości—byłoby wielką nieostrożnością. Pisarze niemieccy pracują, piszą, publikują, jest ich wszędzie pełno. Ich myśli wędrują na biurka angielskich redakcyj, pojawiają się w odbiciu w książkach angielskich pisarzy politycznych.

Jaka jest na to odpowiedź z naszej strony? Powiedzmy szczerze, że słaba. Nasza publicystyka w Anglii nie może się rozwinąć. Nasze próby książkowe można by policzyć na palcach. Dalej jeszcze nie korzystamy z pobytu w Anglii jak należy, nie garniemy się—jeżeli chodzi o emigrację cywilną—do języka angielskiego tak, jak się winno to robić, nie szukamy sposobów zetknięcia z Anglikami. Dalej jeszcze nie stać nas na odwagę ujęcia naszych myśli jasno i trzeźwo, dalej jeszcze nie uczymy się spokojnego myślenia politycznego, którego gdzież jak nie w Angli nauczyć się można.

Trzeba zawołać na alarm. Stawka emigrantów niemieckich i austriackich jest wielkością, której zapomnieć nie możemy a jej wpływ na myślenie polityczne Anglika może okazać się niepożądany dla naszej sprawy. Wiele bowiem wniosków, jakie stawiają oni i rozwijają na oczach angielskich brzmi dla Anglika trafnie, pociągająco. Anglik nie od dzisiaj zna Rzeszę ze zmagań politycznych, militarnych i gospodarczych. Wie on, jaka jest waga tego zagadnienia, jaki ciężar niejako tej sprawy. Jest zatem rzeczą zrozumiałą i ludzką, że wita z pewnym zadowoleniem wszelkie myśli i opinie, które niejako ułatwiają mu rozcięcie węzła niemieckiego, podsuwają wniosek, że jednak jakoś da się załatwić sprawę niemiecką bez uciekania się do bardzo ostrych czy okrutnych sposobów.

Musimy wiedzieć o tych rzeczach aktualnych, nader aktualnych, śledzić je, przygważdżać, odpowiadać rozumnie, jasno i stanowczo.

Antoni Jawnuta

WYDAWNICTWO "WIEDZA O POLSCE"

Celem przypomnienia i zapoznania żołnierzy z przeszłością naszego narodu, dorobkiem Polski na polu kultury i cywilizacji oraz obliczem odrodzonego państwa polskiego, Wojskowe Biuro Propagandy i Oświaty przystąpiło do wydania szeregu publikacji w cyklu

"WIEDZA O POLSCE"

Jako pierwszy tom ukazała się rozprawka prof. U. J. Tadeusza Sulimirskiego pt.

"NAJSTARSZE DZIEJE NARODU POLSKIEGO"

Autor kreśli w niej obraz przedhistorycznych dziejów naszego narodu i jego początków i opierając się na wynikach najnowszych badań naukowych ustala, że naród polski jest autochtonem na swych ziemiach historycznych.

W najbliższym czasie ukaże się

"HISTORIA POLSKI"

Wacława Sobieskiego, prof. U. J., której druk jest na ukończeniu. W przygotowaniu dalsze tomy.

Polsko-czeskie stosunki kulturalne w XIX-ym wieku

II.*

Nie wiadomo, czy wysiłki czeskich budzicieli narodowych osiągnęłyby szybko upragnione przez nich wyniki, gdyby nie niespodziewana pomoc w postaci Rękopisów Królowodworskiego i Zielonogórskiego. Oba te Rękopisy zostały opublikowane przez Wacława Hankę w latach 1817 i 1819, jako zabytki poezji staroczeskiej.

Sprawa tych Rękopisów, oznaczanych w literaturze RKZ, posiada nieznaną gdzie indziej historię. W ciągu tych przeszło 120 lat, jakie minęły od chwili ukazania się ich, wielokrotnie były uznawane za fałszywe lub autentyczne.** W tym okresie nie było pisarza, naukowca, czy polityka czeskiego, któryby się tą sprawą nie interesował; nie było artysty, muzyka, rzeźbiarza, malarza, poety, któryby nie znał i nie przeżywał motywów w nich zawartych. Rękopisy nie były też obce zagranicy. Wkrótce po ich opublikowaniu zostały przetłumaczone w całości lub częściowo niemal na wszystkie języki europejskie. Ich porywającym pięknem zachwycali się artyści takiej miary, co Goethe i Mickiewicz. One pierwsze powiedziały ówczesnemu światu o Czechach, one ułatwiły spopularyzowanie sprawy czeskiej, szczególnie w Polsce i w Rosji.

Rękopisy w Czechach stały się tak znane, że nie tylko mnożyły się ich liczne wydania i komentarze do nich, nie tylko zajmowali się nimi ludzie nauki, ale nawet stały się one tematem wieców politycznych, manifestacyj narodowych, rozpraw sądowych, akt policyjnych, polemik dziennikarskich oraz znalazły się nawet w programach partyjnych. To też nic dziwnego, że Masaryk mógł w liście do Chrzanowskiego wyrażać się o Rękopisach, że poznaje się ludzi w Czechach według tego, czy uznają Rękopisy za prawdziwe lub fałszywe, tak jak podczas współczesnych mu ruchów społecznych w Szwecji poznawało się ludzi po noszeniu czapek lub kapeluszy. Ponieważ zainteresowanie Rękopisami sięgało znacznie dalej, niż badania naukowe i właściwie było od nich niezależne, stały się więc Rękopisy wyrazem czeskiego temperamentu narodowego, przejawiając się w każdej dziedzinie życia publicznego.

I w tym właśnie leży ich znaczenie historyczne w wieku XIX, niezależnie od tego, czy uznane ostatecznie przez naukę za autentyczne odegrają podobną rolę w stosunku do kultury staroczeskiej. W każdym razie sposób w jaki zostały przyjęte przez naród czeski dowodzi tego, że odrodzenia narodowego bez nawiązania do wielkiej i sławnej przeszłości nie dało by się przeprowadzić żywiołowo. Dlatego też romantyzm tak dodatnio przyczynił się do rozwoju życia narodowego ludów podbitych, bo sięgał do ich przeszłości.

Ówczesna publiczność czeska przyjęła Rękopisy z entuzjazmem, choć nie zabrakło też głosów wątpiących w ich prawdziwość, z pośród których należy podkreślić głównie głos Dobrovskiego, nikt jednak nie stanął na stanowisku, że są sfałszowane. To przyszło dopiero potem—z Wiednia, kiedy zorientowano się, że ruch narodowy, wywołany ukazaniem się Rękopisów, zaczyna być niebezpieczny dla polityki austriackiej.

W Polsce największe zainteresowanie Rękopisami przejawia uniwersytet wileński, który wchodzi wtedy w szczytowy okres swego rozwoju. Zainteresowania te idą zresztą w ogóle w kierunku sprawy czeskiej. Przecież nawet swoim stypendystom, wysyłanym zagranicę, uniwersytet zaleca w instrukcji pobyt w Czechach.

Raz nawiązane stosunki kulturalne polsko-czeskie rozwijają się co raz silniej, wzbudzając wzajemne zainteresowania życiem obydwóch narodów, które co raz bardziej uświadamiają sobie bliskość swojej doli, a raczej niedoli, podobieństwo swoich losów. To też nic dziwnego, że Polacy—podróżując zagranicę—co raz częściej wstępują do Pragi, jak to uczynił np. Mickiewicz w r. 1828, zatrzymując się tam, choć by na krótko, dla osobistego poznania działaczy czeskich.

Powstanie listopadowe wywarło wielkie wrażenie w szerokich kołach społeczeństwa czeskiego, wzbudzając wszędzie głęboką sympatię dla sprawy polskiej. Można by co prawda powiedzieć, że przecież cała ówczesna Europa z sympatią patrzyła na walkę powstańców z Rosją, że witano ich potem wszędzie w drodze do Francji jak bohaterów, walczących nie tylko za Polskę, lecz i za wolność całego świata, nic więc dziwnego, że i w Czechach potraktowano powstanie życzliwie.

Była jednak zasadnicza różnica pomiędzy np. stanowiskiem Czech i Niemiec. W Niemczech powstańców fetowano, witano, karmiono—nie przenosząc jednak na swoje terytorium nic z tych ideałów, o które Polacy walczyli. W Czechach było inaczej. Nie było tam pochodów ani uroczystości, ale były za to austriackie obozy, w których trzymano rozbrojonych na galicyjskiej granicy powstańców. A Czesi zaopiekowali się nimi serdecznie. Dostarczali im odzieży i żywności, a gdy się tylko dało, pomagali w ucieczce, ukrywając ich w swoich domach, kierując w stronę granicy.

W Czechach też—między innymi w Pradze—żyło wielu wybitnych Polaków, szukających opieki w Austrii po upadku powstania. Znajdowali się oni wprawdzie na wolności, ale byli pod nadzorem policyjnym i mogli mieszkać w wyznaczonych miejscach pobytu. Oczywiście pobyt ich w Czechach był przejściowy, ponieważ udawali się stopniowo do Francji, niektórzy jednak spędzili tam okres kilkuletni. Między innymi zostało wyznaczone w Pradze miejsce pobytu dla gen. Skrzyneckiego i jego sztabu.

O tym, że liczna była ta emigracja polska w Czechach świadczy to, iż Andrzej Towiański porzuciwszy wioskę rodzinną dla głoszenia swej misji, udał się najpierw do Czech na dłuższy pobyt przed pójściem do Francji. W Czechach też zaczął głosić swoją naukę, znajdując poparcie gen. Skrzyneckiego.

Jeszcze w r. 1832 Mickiewicz przebywa i tworzy w Dreźnie w oparciu o emigrację polską w pobliskich Czechach. Tak samo pierwsi emisariusze sprawy polskiej z Francji udają się do Galicji przez Czechy przy pomocy przebywających tam uchodźców polskich. Można więc powiedzieć, że po upadku powstania listopadowego, nim całe uchodźstwo przeniosło się do Francji, główny jego ośrodek znajdował się w Czechach.

Nie jedno bratnie słowo wtedy padło, nie jedno z haseł powstania utkwiło w sercach czeskich. Niezawodnie więc tak samo powstanie listopadowe, jak i pobyt powstańców po jego upadku przyczyniły się znacznie do tego, że obok narodowego odrodzenia na polu kulturalnym zaczęły wyrastać ambicje polityczne budzących się Czech. Ambicjom tym w kilkanaście lat potem dał swój wyraz rok 1848.

Jan Miszewski

* Por. nr. 19 "Polski Walczącej."

** Autor niniejszego wypowiedział się za ich autentycznością w broszurze, wydanej w r. 1937 w Krakowie staraniem Koła Polonistów S.U.J. oraz w dyskusji, przeprowadzonej z prof. Brücknerem głównie na łamach "Prosto z mostu" w latach 1937 i 1938.

CZECHOM

1

Szumi nam lipa stara prasłowiańską mową,
kołysze się nad głową kolisto a szumnie,
jak gdyby rozszemrana pieśnią Wojciechową,
w chorał święty wezbraną przy gnieźnieńskiej trumnie:

Boga Rodzico Dziewico,
Bogiem sławiona Maryo!
Przez Twego Syna, Gospodzina,
niechaj miecze o tarcz biją!

Niech się ziści wojów zgoda,
jako była pod Grunwaldem,
niech się serce k'sercu poda
i zakrzepnie w męstwie twardem.

Boga Rodzico Dziewico,
Bogiem Maryo sławiona!
Niechaj się wzajem zaszczycą
polskie i czeskie znamiona.

Pod stopą Matki Bożyca
niemiecka niech zcześnie żmija . . .
Boga Rodzica Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!

2

Tyle razy nas do was próbowano zrazić,
chciano, by czerw zwaśnienia jątrzył nas i nękał . . .
Tak się stawało zawsze, po ilekroć razy
obca pomiędzy nami jawiła się ręka.

Ta ręka, w którą topór czeski razem z nami
na odlew pod Grunwaldem siekł, ta ręka, która
Husowi stos męczeński zażgła płomieniami,
ta, co was obaliła w krwi pod Białągórą.

Kiedy nie mogła nożem, sączyła trucizny
i, jak skorpion, toczyła nienawiści jady . . .
A przecie-śmy bogaci, jak wy, ojcowizną
która nam przyszła z jednej braterskiej obrady.

Wasz język i nasz język—to bracia rodzeni,
wykołysani mową Lecha oraz Czecha.
Przecz że byliśmy wieki ze sobą skłóceni,
nie pomni starych gontyn i ojcowej strzechy?—

Odrodziliście ducha w Tyrszowej sokolni;
pod Targette szliście z nami do ataku społem.
Dziś wy i myśmy znowu w męce i niewolni,
i pastwi się wróg luto nad siwym sokołem.

Czuj duch! Tu lwie pazury, a tam orle szpony
podnieść nam przeciw temu podłemu wrogowi
i już nie pożałować męki ani skonu
temu, co się słowiańską mową nie wysłowi! . . .

3

Oni—to Niemce, bo nie mają słowa.
Naszą jest sława i naszą jest mowa.

Nasza jest wola, a ich jest niewola;
myśmy jak kłosy plenne pośród pola.

Nasze są barcie i złociste pszczoły,
nasz jest wiec szumny i taniec wesoły.

I naszą—pieśń ta, która jest śpiewaną
od wód Bałtyku aż do fal Jadranu.

Jeno nam trzeba być, jak dęby w borach,
co oksze łamią i szczerbią topory.

Jeno nam trzeba być zwartą dąbrową
a orły w gniazdach wykołyszem znowu.

Antoni Bogusławski

ś.p. Kazimierz Stefczyk

D dniu 3 maja b.r. zmarł w szpitalu wojskowym na ziemi szkockiej po ciężkim zmaganiu się ze śmiercią pułkownik dyplomowany inż. Kazimierz Stefczyk.

Urodzony w Czernichowie pod Krakowem (29.XIII.1891 r.), wychowywał się w atmosferze wybitnie patriotycznej i religijnej domu swoich rodziców. Przykładem i wzorem ofiarnej i bezinteresownej służby dla Narodu był mu przede wszystkim jego własny ojciec, który zapisał się złotymi zgłoskami w naszej pamięci.

Szkoły średnie i Politechnikę ukończył we Lwowie. Wiedzę fachową, nabytą w czasie służby w wojsku austriackim, oddał na usługi organizacji skautingu polskiego, Sokoła i Polowych Drużyn Sokolich. Należał do najlepszych i najofiarniejszych instruktorów ówczesnego głównego Instruktora, dzisiejszego generała broni Józefa Hallera.

W czasie wojny światowej, jako dowódca baterii na froncie włoskim, wybijał się na czoło artylerzystów. Niezwykłą odwagą i ofiarnością odznaczył się w obronie Lwowa. Jeden z pierwszych stanął w szeregach obrońców w Szkole Sienkiewicza. Wojnę polsko-bolszewicką odbył chlubnie, ranny zresztą w słynnej grupie poleskiej, dowodzonej wówczas przez generała Władysława Sikorskiego, dzisiejszego Naczelnego Wodza, jako dowódca baterii, względnie dywizjonu.

Na wszystkich powierzanych mu stanowiskach zarówno liniowych jak i sztabowych cechowała go zawsze niezwykła dokładność i sumienność, serdeczny stosunek do żołnierza, pełen godności do przełożonych. Olbrzymiej wiedzy fachowej szczególnie wśród artylerzystów cieszył się najwyższym uznaniem i szacunkiem. Żądał od siebie zawsze maximum wysiłku w pełnieniu obowiązków. Własnymi pracami i ich wynikami nie chełpił się i nie wywyższał. Był cichym i skromnym a jakżeż pożytecznym pracownikiem. Nikomu nigdy niczego nie zazdrościł, każdemu chętnie śpieszył z pomocą i radą.

Nie uznawał tylko jednej rzeczy w życiu—kompromisu z własnym sumieniem. Był niewzruszony i nieustępliwy w obronie zasad moralnych i publicznych. Wysoko cenił honor żołnierza—nade wszystko obowiązki wobec swojego Narodu, Państwa i sztandaru Rzeczypospolitej. Odwadze wojskowej towarzyszyła w najwyższym stopniu odwaga cywilna. Do głębi też wstrząsnął nim wojskowy przewrót majowy w 1926 roku. Tylko pod naciskiem przyjaciół zdecydował się pozostać nadal w szeregach tak bezgranicznie przez niego umiłowanej Armii Polskiej. Łamiąc w sobie ból i żal głęboki, zdołał wytrwać tylko do 1934 roku. Męskie bowiem i publiczne wystąpienie przeciwko panującym wówczas stosunkom zmusiło go do opuszczenia stanowiska zastępcy dowódcy 2 p.a.c. i przejścia później drogą "superrewizji" w stan spoczynku w 1935 roku. Odchodząc z Armii, myślał o niej zawsze. Bezinteresownie ofiarował też wojsku swój patent i model jaszcza do działa 155 mm., który został z wdzięcznością przyjęty.

Przeszedłszy na odcinek walki społeczno-ideowej oddał się mu całą duszą. Mimo niezwykłej troskliwości i miłości, jaką otaczał swoją rodzinę, poczuwszy się wolnym od dyscypliny wojskowej—całego siebie rzucił do walki ze złem, panoszącym się wówczas w Polsce. W wysiłku tym był bezapelacyjny. I tutaj był dokładny. Nie znał kresu swojego wysiłku. Jak zawsze cichy i skromny, nawet kosztem spokoju materialnego swojej rodziny, pracował, nie dbając o zdrowie czy życie—byle jak najszybciej wyrwać Naród i Państwo z rąk totalizmu.

Jest to jedna z najofiarniejszych kart jego życia. Szukał zbliżenia do ludzi walki i czynu. Znalazł je w grupie ludzi, którzy jak i on, walczyli o inną, lepszą i uczciwą Polskę. Sztandarem tej Polski był dla niego generał Władysław Sikorski—oddał się mu bez reszty. Pracował także nad stworzeniem jedności narodowej do walki z ówczesną chorobą nurtującą nie naród, ale organizm państwowy i jego kierowników. Ciesząc się dużym autorytetem w Stronnictwie Narodowym, był w nim idei jedności zdecydowanym chorążym. Najwybitniejsi członkowie Stronnictwa Ludowego z Wincentym Witosem na czele obdarzali go niezwykłym szacunkiem i uznaniem. Tą samą miłością obdarzali go Hallerczycy i Stronnictwo Pracy, by wymienić tylko generała Józefa Hallera, ś.p. Wojciecha Korfantego i KarolaPopiela. Nie obcą mu w tej pracy była także pomoc wielu wybitnych socjalistów polskich, jak np. Barlicki, Niedziałkowski, Dubois.

Niestety — przyszła katastrofa wrześniowa 1939 roku, której się tak dla Polski lękał. Ten nowy potworny w swej tragedii cios przygniótł go, lecz nie załamał, nie odebrał wiary w Polskę i Jej jasną przyszłość. Ciągnął się jednak za nim aż do ostatnich chwil jego pracowitego i uczciwego życia. Z natury cichy w bólu, raczej milczący i ukrywający go przed oczyma innych, bólu tego szarpiącego mu nerwy i zdrowie nazbierał do syta. Leczyła go jednak i podtrzymywała zawsze głęboka wiara i obowiązek wobec Ojczyzny. Potem dopiero szedł obowiązek wobec rodziny i najbliższych.

Ten ostatni nigdy mu nie przesłaniał dwu pierwszych. Kryształowy charakter, prawy i wzorowy żołnierz, nie przyjęty do Armii Polskiej we wrześniu 1939 roku, mimo usilnego nalegania, szukał dalszej walki. Stanął z całym oddaniem przy nowym Naczelnym Wodzu, generale Władysławie Sikorskim, jako jeden z najbardziej wiernych i oddanych mu pracowników i przyjaciół. W Paryżu i Londynie całe serce i wiedzę, cały swój wysiłek oddał tej współpracy, nie lecząc się mimo wielu ostrzeżeń i żony i przyjaciół. Wskazywał na tysiące grobów polskich i mękę okropną Kraju.

Nic dziwnego, że ten człowiek, przybywszy na stanowisko dowódcy artylerii w brygadzie strzeleckiej generała Paszkiewicza—w ciągu bardzo krótkiego czasu zdobył od razu serce, szacunek i uznanie dowódcy, kolegów, serce i miłość żołnierza tej brygady.

Śmierć jego głęboko i prawdziwie wzruszyła tam wszystkich. Smutek i wzruszenie czytałeś na każdej twarzy. Odszedł ktoś z najbliższych sercu.

Kochał przyrodę, a zwłaszcza kwiaty. Kwiaty zasłały jego mogiłę, kwiaty składane przez żołnierzy w takiej ilości, że zabrakło już ich dla innych, którzy chcieli go również uczcić kwiatami.

Na grobie wiernego towarzysza spoczęły też kwiaty złożone w imieniu nieobecnego, bo za Oceanem bawiącego Naczelnego Wodza, którego wiadomość o śmierci dojdzie dopiero po powrocie do Wielkiej Brytanii. Niewątpliwie głęboko odczuje Naczelny Wódz śmierć najbliższego swojemu sercu przyjaciela i współpracownika.

I dla nas wszystkich tutaj i dla Kraju ciężką stratą jest śmierć pułkownika Kazimierza Stefczyka.

Z żalem stwierdzali to dowódca brygady, gen. Paszkiewicz, strzelec Pańcewicz i pułkownik dyplomowany Kędzior, jeden z najdawniejszych i najbliższych przyjaciół zmarłego. Wzruszająco zareagował cały Korpus Oficerski, zajmując się losem żony i dwóch nieletnich córek ś.p. Kazimierza Stefczyka. Powstała Rada opiekuńcza pod przewodnictwem generała Paszkiewicza, w skład której weszli również najbliżsi przyjaciele zmarłego. Dowodem uczestnictwo Biskupa Polowego, ks. Gawliny, który odprawił nabożeństwo żałobne.

Niech mu wolna ziemia szkocka lekką będzie aż do chwili, kiedy przytuli go do siebie najbliższa i najdroższa mu ziemia ojczysta!

Izydor Modelski

Z walk w Polsce

Major Brzoza

Umilkły już działa bohatersko broniącej się Warszawy i twierdzy modlińskiej. . . . Przebrzmiał odgłos walk oddziałów gen. Kleberga. . . . Znikąd nie dolatywał już huk bomb spadających na bezbronne osiedla. . . . Zgasła łuna pożarów wzniecanych zbrodniczą ręką. . . . Cisza złowroga zaległa nad Polską.

Zdawało się, że ostatnie oddziały wojskowe zrozumiały bezcelowość dalszego oporu, że wszyscy złożyli już broń; że nigdzie nie ma siły mogącej się czynnie przeciwstawić Niemcom. "*L'ordre regne a Varsovie*"—tak jak ongiś, mógł powiedzieć najeźdźca.

Mimo to szeptano sobie na ucho, że są jeszcze oddziały wojska polskiego, które broni nie złożyły i złożyć nie chcą. Że widziano je to tu, to tam, ukrywające się po lasach. Głucha wieść niosła, że nie tylko się ukrywają, lecz także starają się, gdzie mogą, szkodzić Niemcom, czy to zaskakując ich po nocach, dufnych w kompletne już bezpieczeństwo, odbierając broń i amunicję, kradnąc prowianty czy paszę, czy porywając nawet poszczególnych żołnierzy zbyt nieostrożnie oddalających się wieczorami od swych towarzyszy. Na dowód przytaczano, że w takiej to a takiej wsi czy miasteczku zginął jeden czy kilku żołnierzy, że znaleziono tylko ich mundury, a sami przepadli bez wieści. Jedni więc widzieli w tym robotę mitycznego oddziału partyzanckiego, inni, bardziej po prostu, przypisywali to dezercji zdarzającej się prawie w każdej armii. Że wypadki dezercji nie musiały być odosobnione potwierdza to, że zabroniono pod najcięższymi karami sprzedaży ubrań cywilnych niemieckim wojskowym.

Legenda rosła. . . . Co raz konkretniejsze jednak fakty, z co raz bliższej okolicy dochodziły naszej wiadomości. Aż pewnego dnia gruchnęła wieść, której trudno już było nie wierzyć, że sławny major Brzoza z całym swym oddziałem stoi w naszych lasach. Szeptem, na ucho, opowiadano sobie jak to ludzie Majora przychodzą nocami do wsi okolicznych, prosząc o prowiant dla ludzi a owies i siano dla koni; jak to werbują ludzi do swego oddziału bezpośrednio, imiennie. I tak jeden człowiek został zaczepiony w czasie targu w miasteczku przez nieznanego mu osobnika.

—" Słuchajcie, Góral, wszak wam Góral Franciszek na imię?"

—" A no, tak"—odparł zagadnięty.

—" Major Brzoza przysyła mnie po was, jako że wie, że jesteście specjalista w obsłudze karabinów maszynowych, byście do nas przystali."

—" A co ja mam tam robić?"

—" Nie moja rzecz. Rozkaz Majora był was zawiadomić. Przyjdziecie?"

—" A dyć pewno że przyjndę. Ale kiedy i gdzie mam się stawić?"

—" Jutro w południe na drodze do Leśnictwa. Nie spóźnijcie się tylko, bo Major czekać nie lubi."

—" Będę pewnikiem."

—" No, to z Bogiem," i z tymi słowy zniknął w tłumie.

Góral stawił się na oznaczoną godzinę. Na pół mili przed Leśnictwem zatrzymało go dwuch ludzi, którzy po wylegitymowaniu go, zaprowadzili do Majora.

—" Dziękuję wam, Góral," rzekł major, " za stawienie się na moje wezwanie. Słyszałem, żeście porządny chłop, dla tegom po was posłał. Jesteście specjalista od karabinów maszynowych. Mamy ich sporo, a ludzi obznajomionych brak. Roboty, da Bóg, nie zbraknie. Chcę trochę krwi napsuć Niemcom, by nie myśleli, że walka już w Polsce skończona. Życie nie będzie tu łatwe. Może być głodno i chłodno. Może przyjdzie nieraz pod gołym niebem nocować. Ale komu Ojczyzna jeszcze miła, ten wahać się nie powinien. Przystajecie?"

—" Tak jest, panie Majorze!"

—" No, dobrze! Możecie wrócić dziś, pożegnać się z rodziną, a jutro stawicie się rano w tym samym miejscu. Tylko pamiętajcie: pary z gęby—nikomu!"

—" Rozkaz, panie majorze."

Po wizycie w lesie człowiek ten wrócił na parę godzin do wsi, by zaopatrzyć się w potrzebne rzeczy. Mimo danego przyrzeczenia, nie potrafił utrzymać tajemnicy. Z dumą i entuzjazmem opowiadał o Majorze i jego oddziale.

Wielkie usługi w zbieraniu potrzebnych Majorowi informacji o rozmieszczeniu wojsk niemieckich, ich sile i uzbrojeniu, jak również w zdobywaniu środków finansowych oddawała mu jego emisariuszka panna Janina Sokołówna. Młoda dziewczyna, o pogodnym i miłym obliczu, jeździła po dworach, plebaniach, zagrodach, szerząc wieść o robocie Majora i jego potrzebach.

Pewnego wieczoru zajechała do dużego dworu zajętego w trzech czwartych przez wojsko niemieckie. Gdy warta pytała, kto ona i do kogo, podała się za krewną właścicieli z niedalekiego sąsiedztwa. Wpuszczono ją. Warta przyprowadziła do właścicieli, mówiąc podane przez nią nazwisko. Ci najserdeczniej i najnaturalniej ją przyjęli, nie okazując najmniejszego zdziwienia, jakby od dawna jej oczekiwali. Dopiero, gdy uspokojeni i przekonani o prawdzie wartownicy odeszli, panna Janina przeprosiła za podszycie się pod cudze nazwisko, wyjaśniając powody. Rano wyjechała z większą sumą pieniędzy i obietnicą dostawy środków żywnościowych. Cuda sobie opowiadano o jej odwadze i przedsiębiorczości.

Nie jeden śmielszy, jeździł cichaczem odwiedzić Majora, by choć dłoń mu uścisnąć i nacieszyć się widokiem tych ludzi, którzy woleli głód, chłód, i poniewierkę, niż poddanie się najeźdzcy.

Taki stan rzeczy, mimo że się o tym tylko szeptało, trudno było długo ukryć przed władzami niemieckimi. To też po dwu tygodniach gdy stało się publiczną tajemnicą, że " coś w lasach się dzieje," sprowadzili Niemcy silne oddziały wojska z dwuch najbliższych miast powiatowych, jak również oddział z miasta dystryktowego z kilkoma lekkimi czołgami, a nawet artylerią, by ten oddział " polskich rebeliantów " zlikwidować.

Ekspedycja nie udała się jednak. Major Brzoza powiadomiony na czas, wycofał się dalej, a Niemcy, wszedłszy parę set metrów od brzegu w las, nie czując się na siłach zapuszczać głębiej, cofnęli się, oznajmiając oficjalnie, że żadnych wojsk polskich nie ma, że to tylko wymysł bujnej imaginacji podekscytowanej ludności. Na jakiś czas słuch o Majorze i jego oddziale zaginął.

Nie długo jednak to trwało. Już parę tygodni później dowiedzieliśmy się, że skradziono w . . . w biały dzień transport amunicji. Jak opowiadano, zrobili to żołnierze Majora, którzy poprzebierani za niemieckich żołnierzy, niemieckimi ciężarówkami zajechali przed skład amunicji. A ponieważ na wyznaczony dzień miano rzeczywiście ładować amunicję, więc przygotowaną ilość im wydano. Podstęp wyszedł na jaw, gdy parę godzin później stawili się prawdziwi odbiorcy. Ale było za późno,—ludzie Majora byli już daleko.

Major Brzoza i jego oddział był na ustach wszystkich. Co raz to nowe, bardziej lub mniej prawdopodobne historie opowiadano sobie o nim. Mimo, że ciężkie kary groziły za dawanie temu oddziałowi jakiejkolwiek pomocy, mimo że co raz trudniej było z wydostaniem środków żywnościowych rekwirowanych przez Niemców w sposób brutalny, mimo to oddział, jak nas zapewniano, nie tylko nie cierpiał głodu i chłodu, ale świetnie zaaprowiantowany w co raz większą rósł siłę.

W końcu grudnia 1939 roku, major Brzoza ze swym oddziałem znów przybył w naszą okolicę, postanawiając pozostać tu w lasach na leże zimowe. A zima już była przyszła w całym majestacie swym i grozie. Spowiła Polskę białym całunem, skuła ją w okowy trzaskającego mrozu. Od niepamiętnych lat nie było tak wielkich śniegów, ani tak długo-trwałego zimna. Ale ten dywan śniegu, olbrzymie zaspy, śnieżne zamiecie i mróz dochodzący do 20 kilku stopni poniżej zera, chroniły Majora i jego oddział lepiej, niż najsilniejsze fortyfikacje. Dopóki to trwało, mógł czuć się bezpieczny. I poczuł się Major bezpieczny. . . . A zyskawszy tę pewność zaczął hulać. I nie było prawie dnia, by nie spłatał Niemcom jakiegoś figla.

Oto pewnej nocy w czasie silnej zadymki przybył ze swym oddziałem do wsi, w której kwaterował oddział złożony ze 180 Niemców. Mimo że jak co noc Niemcy rozstawili silne straże, to jednak udało się naszym żołnierzom tak cicho do tych straży podkraść, że napadnięci nie zdążyli ani strzelić na alarm, ani nawet głosu z siebie wydobyć. I nikt nie zauważył, gdy zabierano broń, amunicję, prowianty, furaż, wszystko co tylko dało się wziąć na przygotowane sanie. Dopiero rano szaleli Niemcy z wściekłości i wstydu, gdy spostrzegli związanych i zakneblowanych swoich wartowników, a brak broni i puste składy.

Przed pewien młyn, w czasie ładowania przez Niemców mąki dla siebie, zajechało kilka sanek. Zanim się Niemcy spostrzegli, zostali otoczeni przez zwartą masę chłopów, którzy raptem z pod kożuchów błysnęli im stalą rewolwerów, zielenią polskich mundurów. Bez szemrania, potulnie, a nawet z gorącym pośpiechem, zaczęli Niemcy przeładowywać mąkę ze swych aut na saneczki chłopskie, tak jak to nasi żołnierze kazali. A potem, gdy odjechali, długo jeszcze stali patrząc za znikającymi klnąc głośno: "*Pfuj, Teufel! Diese verfluchten Pollacken!*"

Któregoś znów wieczora, w czasie zadymki śnieżnej, utknęły w zaspie dwa samochody niemieckie. Stały już długo nie mogąc się wydobyć. Ku ich radości nadjeżdżają dwie pary sanek, wiozące po kilku rosłych mężczyzn. Niemcy ich zatrzymają rozkazując odprzęgnąć konie i założyć je do aut. Ci odmawiają. Niemcy wpadają w szał. Ryczą na nich, zamierzają bić (a zawsze w autach wozili pejcze), gdy ci bardzo spokojnie odchylają kożuchy wskazując na mundury polskie i pęki granatów ręcznych wiszących każdemu u pasa.

—" Przepraszamy. Myśmy nie wiedzieli. Darujcie, nie róbcie nam nic złego"—bełkotali przerażeni nadludzie Hitlera.

—" A tak, to co innego"—odpowiedzieli im żołnierze Majora. —" Ale teraz—rrausss! Piechotą, moi panowie, do domu. I to jak najprędzej, bo inaczej może być źle. A my już tu sami autami się zaopiekujemy."

Jak niepyszni poszli Niemcy w śnieg i zawieruchę. Zdemolowawszy doszczętnie oba auta i zaśmiewając się z udanego " kawału " odjechali nasi żołnierze w ciemne lasy, dające im tak bezpieczne schronienie.

Ale wiedział też Major, że by utrzymać w obozie karność i porządek, nie wystarczą takie czy inne bardziej lub mniej udane wypady czy " kawały:" Toteż mimo że oddział żył stale w pogotowiu, i że to był okres najcięższych mrozów, codziennie odbywała się musztra i ćwiczenia. Miejsce w którym mieszkał Major i główne jego siły było prawdziwym obozem. Warty porozstawiane nie przepuszczały byle kogo. Ludzie odwiedzający potajemnie Majora zawsze musieli się legitymować i wytłumaczyć cel wizyty przed dyżurnym oficerem. Dopiero później jeśli Major był, to prowadzono ich do niego. Wizyty te nie były zresztą zbyt częste i nie wielu ludzi go odwiedzało. Posądzenie bowiem o składanie takich wizyt groziło deportacją jeśli nie karą śmierci. Jednak ci, co tam byli, opowiadali, że oddział ten liczył wówczas od 400 do 600 ludzi. Mieli swego kapelana; co dzień rano polowa Msza święta. Nie wszy scy jednak stali w tej samej miejscowości. Wielu rozsianych było dalej, wielu znacznie dalej od głównego obozu.

Broni miano pod dostatkiem. Poza karabinami maszynowymi i ręcznymi, wielką ilością granatów ręcznych, posiadał Major również dwa działka przeciw-pancerne oraz stację radiową nadawczą i odbiorczą. Zresztą, broni przybywało z udanych kradzieży Niemcom.

Duch w obozie panował nadzwyczajny. Mimo zdawało by się beznadziejnej sytuacji, nikt nie wątpił, że jak wiosna nadejdzie a ofensywa aliantów na zachodzie ruszy, to oni dopiero pokażą Niemcom co znaczy nawet garstka ludzi zdecydowanych na wszystko.

Wiara w szybkie i druzgocące zwycięstwo sprzymierzonych była wówczas tak silna w Polsce, że wydawało się Majorowi, a z nim —całemu Krajowi, że to kwestia najwyżej kilku miesięcy. Wówczas oddział Majora mógł by był rzeczywiście stać się zalążkiem wielkiej akcji partyzanckiej na tyłach wojsk niemieckich. To przeświadczenie i wiara usprawiedliwiała w oczach wszystkich istnienie oddziału.

Sam dowódca dawał przykłady niesłychanej odwagi i nieprawdopodobnego tupetu. Opowiadano, że od czasu do czasu znika na parę dni z obozu, by z przyprawioną brodą i zmienioną do niepoznaki twarzą jeździć do Warszawy. Tam odwiedzał przyjaciół, znajomych; zachodził, do restauracji i kawiarni. Gdy wracał sam prowadził swych ludzi na jakieś wypady czy " kawały " w okolicy. Pilnował się jednak Major, by nie doprowadzić nigdy do rozlewu krwi, obawiając się represji na niewinnej miejscowej ludności.

Dość długa już bezkarność i brak reakcji ze strony władz niemieckich, tak rozzuchwaliła oddział, że co raz to częstsze, co raz to drastyczniejsze figle płatali Niemcom, o których natychmiast cała bliższa i dalsza okolica opowiadała. Już i Niemcom trudno było wobec miejscowego społeczeństwa udawać, że nic o oddziale i jego poczynaniach nie wiedzą. W rozmowie z jednym z wybitniejszych ziemian danej okolicy miejscowy Landrath rzekł mu:

—" Mam nadzieję, proszę Pana, że pułkownik Przosa (jak go Niemcy powszechnie nazywali) nie zrobi tego głupstwa, by zabić choćby jednego żołnierza niemieckiego. Bo niech wie, że za każdego zabitego Niemca, każę rozstrzelać dwudziestu ludzi i puszczę z dymem dwie wsie, a i wy Panowie odpowiadać będziecie."

—" I ja mam tę nadzieję, Panie Landrath,"—odrzekł mu ziemianin, ciesząc się w duchu, że na tym tylko rozmowa się skończyła.

Tak przeszła zima. Śniegi, naturalny sprzymierzeniec Majora, topniały gwałtownie. Okiść spadała z drzew, obnażając konary, a zwiększając znacznie widoczność utrudniała ukrywanie się. Każdy dzień zbliżał moment, gdy utrzymanie tak licznego oddziału nie będzie mogło być dalej przez Niemców tolerowane. O! bo mieli oni już dosyć tego błędnego rycerza, podtrzymującego ducha buntu, nie tylko w najbliższej okolicy, ale w całej połaci kraju, gdzie legenda o jego wyczynach rosła do rozmiarów walk, zasadzek, przejmowania prowiantów, jednym słowem wielkiej akcji partyzanckiej.

Wiedział więc Major, że Niemcy czekają tylko, by poprawiły się drogi, dla wysłania przeciw niemu ekspedycji, która by zgniotła słabe jego siły i zlikwidowała raz na zawsze ognisko oporu, oraz moralną podporę dla narodu, niechcącego dobrowolnie ugiąć karku przed najeźdźcą. Wiedząc o tym, tak jak niepostrzeżenie przybył w pewną ciemną noc, wśród kurzawy i zamieci śnieżnej, tak też i bez zapowiedzi oraz rozgłosu zniknął w głębi lasów pewnej ciemnej dżdżystej nocy.

Przyszedł wreszcie czas, że Niemcy postanowili skończyć już z tym oddziałem partyzanckim. Dzień po dniu krążyły samoloty wywiadowcze niziutko nad lasami naszej okolicy oraz dalszymi, wypatrując, czy gdzie nie zauważą podejrzanych ruchów lub większego skupiska ludzi. Wiedziano, że szykuje się ekspedycja wojskowa, by przyłapać Majora i jego oddział. Aż nadszedł w końcu ten dzień fatalny. . . . Cały oddział stał w dużej leśnej wsi. Warty poustawiane. Wszyscy w ostrym pogotowiu. Rozkazy wydane. Każdy, od oficera do ostatniego żołnierza wiedział co w razie alarmu ma do wykonania.

Pierwsze promienie słońca zaczęły złocić wierzchołki sosen, gdy padł strzał. Oto z daleka słychać warkot czołgu oraz samochodów. Niemcy nadchodzą.

Oddział Majora wycofuje się w las małymi grupkami, pojedyńczo, zostawiając kilkunastu ludzi na krycie odwrotu. Wywiązuje się bitwa. Krok za krokiem, odstrzeliwując się gęsto, ustępują nasi żołnierze przed ogniem karabinu maszynowego z nadjeżdżającego czołgu.

Kilku z nich położyło się za węgłem chałupy. Każdy z nich trzyma w ręku granaty . . . czekają na czołg. A gdy już ich minął, wyskoczyli rzucając weń i pod niego przygotowane pociski. Czołg unieruchomiony. . . . Ale i dwuch z tych bohaterów zabitych, poza tym jeden ciężko, drugi lżej ranny.

Nie ma zresztą co dłużej czekać, bo o paręset kroków piechota niemiecka wyładowana z pięciu samochodów, następuje. Zadanie już wykonane, trzeba myśleć o połączeniu ze swoimi. Biorą więc rannych i kryjąc się za chatami i opłotkami, znikają w lesie. A oddział rozsypany w tyralierę wśród drzew razi Niemców celnymi strzałami, ciągle się wycofując, i wciągając Niemców co raz głębiej w las za sobą. Nie spodziewali się Niemcy, że tak liczny jest oddział Majora. Mimo strat, jakie już ponieśli, parli na przód nie zważając, że co raz głębiej zapuszczają się w knieję, chcąc za wszelką cenę wykonać polecone im zadanie,—to jest zniszczyć lub rozbić doszczętnie oddział. Ale Major wiedział co robi. Nie darmo siedział w tej okolicy parę miesięcy. Gdy już dostatecznie głęboko w las wciągnął Niemców za sobą, zaczął ich pomału oskrzydlać i otaczać aż przeszedł do kontrataku.

Nie wielu Niemców żywych uszło z tej zasadzki. A ci co ocaleli, długo błąkali się po lasach na pół żywi z głodu; nie śmieli zbliżać się jednak do osiedli ludzkich w strachu przed ludźmi " strasznego pułkownika."' Niemcy stracili w tej potyczce czołg, 5 samochodów (które spalono) oraz około 150 ludzi.

Z naszej strony zabitych 6 czy 8, 11 rannych w tym podobno sam Major i to jakoby ciężko. Oddział wycofał się lasami w stronę. . . . gdzie ostatecznie został rozwiązany.

Tak skończyła się w połowie kwietnia 1940 roku walka o Polskę —na polskiej ziemi z bronią w ręku. Skutki tej klęski niemieckiej nie dały na siebie zbyt długo czekać. W parę dni później przyjechał do wsi, w której zaczęła się walka, silny oddział Gestapo i podpalił wieś w wielu naraz miejscach. Nie tylko nie pozwalano ratować, lecz zgliszcza jeszcze zburzono a sterczące kominy i popalone mury rozwalano granatami ręcznymi. 14 wsi puścili wtedy Niemcy z dymem, z czego 5 zburzono doszczętnie bez prawa odbudowywania kiedykolwiek.

Nie dość tego. W parę dni później znów ekspedycja karna Gestapo przybyła do tych ruin. Kazano wszystkim mężczyznom w wieku od lat 10 do 60 kopać głębokie rowy o linii łamanej. Wyglądało to jakby miano przygotowywać, dla niewiadomego celu, okopy. Jeden z Gestapowców, Czech, który pilnował pewnego odcinka robót, zwrócił się do pracujących mężczyzn i dzieci:

—" Na miły Bóg, ludzie! Komu życie drogie, rzućcież te łopaty i uciekajcie w las, bo my wszak mamy was tutaj, nad tym rowem, rozstrzelać."

Kilku śmielszych usłuchało rady, puścili się pędem ku pobliskiemu lasowi. Wnet posypały się za nimi strzały. Nie oglądali się, gnani przerażeniem, gdyż nie tylko za nimi strzelano . . . wszystkich spędzonych na kopanie rowów ludzi (w tem chłopcy od lat 10), a było ich około 800, zamordowano. Czech również przypłacił życiem swój dobry uczynek.

Kobiety, dziewczęta i maleńkie dzieci pozostałe przy życiu, zostały raptem bez dachu nad głową, bez mężów, ojców i synów. Bez niczego . . . niczego już na świecie! . . . Trzeba było widzieć te skamieniałe z przerażenia twarze, te łzy spływające po wyblakłych policzkach, te usta wykrzywione boleścią, a nie będące w stanie nawet skargi z siebie wydobyć. . . . Te dzieci drżące z zimna i płaczące z głodu. . . . Tę otchłań bólu, rozpaczy i trwogi. . . . Tę nędzę straszliwą i beznadziejność istnienia tych setek, setek istot, by zrozumieć, że nie może pozostać nieukarana tak potworna zbrodnia; że musi przyjść dzień i wybić godzina Sprawiedliwości!

Jan Buczko

Zdarzenia prawdziwe, imiona i nazwiska osób zmyślone.

Panarabizm

Walka hitlerowskiego ajenta, Raszida Ali, z Anglią, uczyniła znowu aktualną sprawę ruchu panarabskiego, wszecharabskiego, który jakoby Raszid Ali ma wyobrażać. Warto się więc bliżej nad tym zastanowić, co to jest ruch panarabski i jakie są jego szanse.

Przed pierwszą wojną światową o panarabiźmie było głucho. Istniała natomiast formalnie wspólnota muzułmańska. Sułtan turecki był jednocześnie kalifem, to jest panem wszystkich wiernych. Toteż z chwilą, gdy Turcja wstąpiła do wojny sułtan, jako kalif, ogłosił "wojnę świętą" przeciw niewiernym. Wojna święta jednak spaliła na panewce. Nie tylko muzułmanie z Algeru, Marokka, Tunisu, kolonii afrykańskich i Indii nie usłuchali wezwania kalifa, i walczyli dzielnie po stronie koalicji, ale nawet w samym państwie tureckim Arabowie pod wodzą Emira Husseina, szeryfa Mekki i Medyny, powstali przeciwko Turkom. Jedność świata muzułmańskiego okazała się złudzeniem.

Jakżeż przedstawia się jedność świata arabskiego? Wyliczmy najpierw państwa, w których element arabski przeważa. Są to przede wszystkim państwa, zajmujące całe wybrzeże północno-afrykańskie, a więc Marokko—protektorat francuski, Alger—prowincja francuska, Tunis—protektorat francuski, Libia—prowincja włoska i Egipt—państwo niepodległe. Dalej w Azji mamy Syrię, państwo pod mandatem francuskim, które ma przyrzeczoną niepodległość, Irak państwo niepodległe, Palestynę—państwo pod mandatem angielskim dziś o charakterze narodowo mieszanym: arabsko-żydowskim, Transjordanię, również pod mandatem angielskim, Arabię Saudycką i Yemen. Dodajmy jeszcze drobne protektoraty angielskie na półwyspie arabskim. Samo spojrzenie na mapę mówi nam, że stworzenie jednego państwa ze wszystkich ziem arabskich jest niepodobieństwem.

Niepodobieństwo to ukaże się jeszcze jaskrawiej, gdy uprzytomnimy sobie różnice w rozwoju historycznym, różnice w kulturze między poszczególnymi państwami. Egipt jest państwem prawie zupełnie współczesnym. Arabia Ibn Sauda i Yemen są krajami, których stosunki społeczne bliższe są wieku XVI, niż XX. Transjordania jest krajem koczowniczych Beduinów, Syria jest krajem, gdzie rządzą inteligenci, wychowani w szkołach francuskich. Panarabia więc w szerokim tego słowa znaczeniu jest mrzonką. Przynajmniej w chwili obecnej.

Jest jednak dzisiaj centrum, które się stara stać kulturalnym ośrodkiem całego świata arabskiego. Jest nim arabski uniwersytet w Kairze El Ahram. Dziwna to szkoła. Jest to szereg budynków zgrupowanych koło meczetu i związanych z meczetem. Większość studentów to interni, stali mieszkańcy zabudowań uniwersyteckich. Nie ma podręczników. Są wykłady ustne. El Ahram przypomina więc raczej Sorbonę czy Oxford z wieku XV, niż uniwersytety europejskie. Fakt jednak że gromadzi on studentów ze wszystkich krajów arabskich nadaje mu olbrzymie znaczenie. I podczas walk w Palestynie El Ahram odgrywał bardzo wybitną rolę. Profesorowie El Ahram marzą niewątpliwie o Egipcie, jako o centrum sfederowanych państw arabskich, marzą też o tym, by kalifat—dziś nieistniejący—wskrzesić w osobie króla Egiptu. I nie był bez znaczenia fakt, że młody król Faruk, gdy powrócił do kraju ukończywszy studia europejskie, zapisał się na El Ahram i tam razem z innymi siedział u stóp uczonych muzułmańskich, wykładających Koran. Odnowienie kalifatu i przewodzenie całemu światu arabskiemu przez Egipt—to jednak jest dopiero muzyka bardzo dalekiej przyszłości, Tym bardziej, że na stanowisko kalifa po cichu kandyduje i sułtan marokański i Wielki Mufti Jerozolimy i Ibn Saud, no i jeszcze inni.

Na dzisiaj panarabizm spokojnie możemy ograniczyć do półwyspu arabskiego i Azji Mniejszej. Jednak i tam, jeśli się przyjrzeć bliżej sprawa zgoła nie jest prostą. Był moment, w którym można było myśleć o połączeniu dawnych arabskich prowincji Turcji w jedno państwo. Tym momentem był rok 1919. I Emir Feisal, syn szeryfa Mekki myślał, że uda mu się to państwo stworzyć. Stolicą państwa miał być Damaszek. Jak wiadomo stało się inaczej. Zamiast jednego państwa arabskiego powstały mandaty: Syria, Irak, Palestyna, Transjordania.* Feisal został królem Iraku, brat jego Abdullah królem Transjordanii. Syria i Palestyna są republikami.

* Por. artykuł o Iraku w nr. 19 "Polski Walczącej."

Nie to jednak ostatecznie skończyło myśl o Panarabii z centrum w Damaszku ale zupełnie inna sprawa. W pustyniach Arabii szczęśliwej koczowniczy Beduini żyli jak przed wiekami, pod wodzą całego szeregu szeików. I między tymi szeikami znalazł się człowiek, w pojęciu europejskim niewykształcony, ale obdarzony olbrzymi talentem wojskowym i administracyjnym—Ibn Saud. Ibn Saud nie tylko stał się panem całej Arabii szczęśliwej, ale w szczęśliwej wojnie pokonał Emira Husseina i wcielił do swego państwa Mekkę i Medynę. Jest on więc dzisiaj stróżem miejsc świętych. Arabia bez Ibn Sauda i jego państwa nigdy nie może być prawdziwą Panarabią, Ibn Saud zaś nikogo nad sobą nie uzna.

Czy jednak Ibn Saud sam może być tym, który ruch arabski scałkuje? Wiele względów przemawia przeciw temu. Przede wszystkim względy religijne. Ibn Saud liczy się do Wahabitów. Jest to sekta muzułmańska, która w oczach prawowitego sunnity, czy sziity jest czymś bardziej potwornym, niż był protestantyzm w oczach kościoła katolickiego w wieku XVI, czy XVII. O tym, by arabi transjordańscy czy iraccy uznali dobrowolnie władzę króla wahabickiego, mowy być nie może. Dalej, państwo Ibn Sauda jest państwem feodalnym. Po jego śmierci zostanie podzielone między synów. Jedność więc byłaby jednością zupełnie tymczasową.

Z tych wszystkich względów panarabism przestał być istotnym ruchem politycznym. Był on dogodną wywieszką, czy dla Wielkiego Muftiego Jerozolimy w walce z Anglią, czy dla intelektualistów syryjskich w walce z Francją. Ruchy arabskie jednak były ściśle zlokalizowane. Destur w Tunisie był ruchem niepodległościowym, nie panarabskim. W Algerze walka szła o równouprawnienie polityczne, nie o Panarabię. W Marokku powstania były ruchami niepodległościowymi, nie panarabskimi. W Palestynie chodziło o zahamowanie imigracji żydowskiej. W Iraku Raszid jest poprostu ajentem Hitlera nie lepszym od chorwackiego Pavelića.

Najlepszym znakiem tego, że nowe państwa arabskie zamknęły się w swych granicach był pakt Saadabadzki. Paktem tym Irak związał się z trzema państwami, z których żadne nie należy do świata arabskiego, a natomiast są jego sąsiadami i mają z nim związki geograficzne.

Jedno z tych państw—Afgnistan bezpośrednio jeszcze nie jest zagrożone. Dla dwóch innych jednak, dla Turcji i dla Iranu zwycięstwo El Raszyda w Iraku byłoby śmiertelnym zagrożeniem.

Te trzy państwa, którym historia zdawało by się nakazywała wieczną wrogość — sunnicka Turcja i sziicka Persja były od wieków z sobą w walce, Irak powstał z rozbioru Turcji—zrozumiały w roku 1937, że muszą iść razem. Tak jak rozumiały to zresztą wtedy i państwa skandynawskie, jak rozumiały państwa Małej Ententy i Ententy Bałkańskiej.

Czy z tego zrozumienia Iran i Turcja wyciągną dziś konsekwencje?

Michał Prozor

Skrzynka pocztowa

"Z pisaniem nam marynarzom nie jest tak łatwo. Wy "wody" nie lubicie; chcecie faktów, danych, wydarzeń. My — mamy usta zamknięte "tajemnicą wojskową." I nie wiadomo—co można, a co nie.

Najgorszą przeszkodą jest wstręt do pióra. . . Żeby pisać, poza tym, trzeba to umieć robić. Niżej podpisany pisywał dotychczas tylko listy. Zresztą—bardzo rzadko. I w dodatku—albo służbowe, albo "miłosne" (*in english*). Niezbyt wszechstronny literat—prawda.

Ale czego się dla propagandy nie zrobi. Wysilę się więc może znów na jakieś "wypociny." Powiem kolegom—może któryś z nich coś skrobnie.

"Polska Wałcząca" oczywiście dochodzi. Dochodzi . . . w każdym rozumieniu tego słowa. Dochodzi i trafia do wszystkich serc, dusz i przekonań. Dochodzi i zostaje. I narasta wciąż kapitał kulturalny i wychowawczy, który ona przynosi, kształcąc umysł, charakter, pojęcie i serce każdego. . . "Polaka walczącego."

I nie potrafię znaleść słów, by naprawdę dobrze wyrazić naszą głęboką, szczerą, i gorącą wdzięczność oraz szacunek Panu Redaktorowi i wszystkim za Ich, a właściwie **n a s z** tygodnik.

Eugeniusz Wciślicki

* * *

"W imieniu własnym i żołnierzy mi podległych składam podziękowanie Sz. Panu Redaktorowi, życząc przy tym pomyślnego rozwoju tak popularnego pisma wśród żołnierzy."

Dowódca 317 *Dyonu Myśliwskiego*

* * *

Na wstępie pragnę wyrazić swoje uznanie dla "Polski Walczącej," tak za dobór, treść i stronę ideową artykułów.

Zawsze były mi obce fanfaronady, nadskakiwania i schlebiania dokoła osób czy instytucji t.zw. "wpływowych" czy też urzędowych.

Dlatego też dziś, po raz pierwszy ośmielam się skreślić tych parę słów uznania i zarazem podzielić się mymi spostrzeżeniami i uwagami, choć może trochę jednostronnymi. Ale też chodzi mi w tym wypadku głównie o jedną rzecz.

P o l a c y t o p o n o ć n a r ó d, w s w e j o g r o m n e j w i ę k s z o ś c i k a t o l i c k i.

Największy rozkwit swej potęgi i kultury, swej chwały orężnej, to okresy kiedy Polska była naprawdę szczerze katolicka kiedy jej rycerstwo ruszało w bój z przed ołtarza, z przed tronu Matki Boskiej z pieśnią na ustach "Boga Rodzico," kiedy hasło Bóg i Ojczyzna nie było hasłem od świąt, lub hasłem urzędowym tylko, lecz każdy pojedyńczy żołnierz hasło to szczerze w sercu nosił i wyznawał.

Dziś niby jest to samo. Lecz jeżeli chodzi o nas, o nasze wojsko tu na obczyźnie—pomimo tych doświadczeń, pomimo pozorów, że tak jest—to jesteśmy raczej tylko oficjalnie, urzędowo, jako masa, jako całość, katolikami.

Nie ma w nas tego katolicyzmu promieniejącego na otoczenie. A przecież, jeżeli już nie rozum, to przynajmniej względy uczuciowe, względy naszej wspaniałej przeszłości historycznej, czerpiącej swe siły z katolicyzmu, już choćby sama nasza duma narodowa powinna nam być wskaźnikiem do gorliwszego wyznawania i pielęgnowania naszego charakteru katolickiego.

Jesteśmy tułaczami ciężko doświadczonymi, ale nigdy jako niedobitkowie, lecz jako awangarda Polski walczącej, Polski nieśmiertelnej, Polski prawdziwej polskiej, a więc katolickiej, tak być powinno, takie jest nasze przeznaczenie.

Jest nas tutaj znikoma garstka w stosunku do naszych braci pozostałych w kraju. Ale kraj patrzy na nas, pewne jest, że nasze czyny przede wszystkim przejdą do historii, że my tutaj mamy być ambasadorami narodu polskiego w Jego najlepszym obliczu. Starajmy się więc, żebyśmy w historii widnieli w jak najlepszym świetle, żebyśmy jaśnieli w niej jako prawdziwi rycerze Chrystusowi.

Walka obecna to walka ideologiczna, to walka na śmierć i życie przeciw neopaganizmowi germańskiemu i bolszewizmowi aziatyckiemu. Jedyną odpowiedzią może tu być Ewangelia Chrystusowa, ideologia chrześcijańska w czynie a dla nas Polaków trzeba jeszcze dodać—ideologia szczerze katolicka w połączeniu z naszymi tradycjami wolnościowymi i naszym mesjanizmem.

Stwórzmy więc z siebie kadrę wojska Chrystusowego, stwórzmy z siebie Zakon Rycerzy Chrystusowych.

Jan Turzański

* * *

"Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia Sz. Redakcji, kolegom broni oraz p. Mazurowi Kaźmierzowi i Biedzie, Janowi."

Konstanty Biźnia (Szwajcaria)

* * *

"Proszę przyjąć ode mnie, jak również od moich kolegów wyrazy najszczerszego uznania dla "Polski Walczącej," tak świetnie redagowanej przez Pana."

Tadeusz Szymański (RAF)

* * *

Grupa artystów polskich, objeżdżająca obozy w Szkocji z ramienia ENSA—przesłała na ręce redaktora "Polski Walczącej" drugą przesyłkę pieniędzy, zebranych wśród żołnierzy na Fundusz Pomocy Jeńcom. Wynosi ona: £45.17.10½ i została wpłacona do Kasy Polskiego Czerwonego Krzyża.

Informator i "Przewodnik"

Celowi samokształceniowemu służy tygodnik "*Co słychać*" pod redakcją Stefana Kossaka, zawierający streszczenia artykułów drukowanych w czasopismach brytyjskich i amerykańskich. Zeszyt 20-stronicowy zawiera zwykle tłómaczenia kilku najciekawszych artykułów na tematy polityczne lub wojskowe. Sam pomysł tego rodzaju imprezy wydawniczej dobry jest już z tego choćby względu, że dzięki takiej rewii zagadnień o zasięgu międzynarodowym czytelnik polski musi wyjść poza opłotki naszych spraw domowych, wewnętrznych. Zapoznaje się tu z myślą świata anglosaskiego.

Pismo, obok spraw czysto politycznych, poświęca dużo uwagi, i słusznie, zagadnieniom wojskowym. Spełnia więc swą rolę w samokształceniu zawodowym. Dużo artykułów na tematy Wschodu. Trochę słabiej reprezentowany jest dział mający wprowadzić czytelnika w wysiłek angielskiej myśli politycznej na temat układu stosunków w nowej Europie. W sumie wydawnictwo "Co słychać" przynosi sporo materiału do rozważań nad dzisiejszą sytuacją wojenną i polityczną, daje myśleniu żołnierskiemu wiele pobudzeń.

Zaradzić troskom samokształceniowym wojska, poprzez słowo mówione, książkę, pieśń i rysunek, wywołać wizję kraju—to jedno z niewątpliwie trudnych zadań do wykonania na ziemi angielskiej. Odczuwamy tu bowiem brak przede wszystkim odpowiedniego materiału: polskich książek, nut, obrazów. Nie mamy tu też nadmiaru wykwalifikowanych, pomysłowych i rzutkich pracowników, którzy mogą się wykazać znaczniejszym doświadczeniem w pracy oświatowej dla dorosłych. Tym więcej cenić trzeba wysiłek planowy, dobrze przemyślany, co raz lepiej realizowany, nie narzucający się reklamiarstwem, a mówiący rezultatami swych osiągnięć.

Mam tu na myśli "*Poradnik dla pracowników świetlic żołnierskich,*" wydawany przez *Polską Y.M.C.A.* Śledząc to wydawnictwo widać z każdym niemal numerem celowy rozrost jego treści i konsekwentny wysiłek w kierunku zaspokojenia potrzeb świetlicowych życia żołnierskiego. Od ogólnych uwag o organizacji życia wewnętrznego świetlicy, które przeważały w pierwszym numerze, punkt ciężkości przesuwa się co raz bardziej ku dostarczaniu materiałów literackich, biograficzno-historycznych lub statystycznych, które mogą stanowić podstawę dla organizacji—pewnych imprez kulturalnych. Jest to punkt widzenia słuszny i celowy. Trzeba pamiętać ile wysiłku i poszukiwań trzeba włożyć, przy braku książek polskich w Anglii, w porządne zestawienie materiałów biograficznych takiej ciekawej postaci z życia wielkiej emigracji, jak Szymon Konarski, lub Zygmunt Padlewski, powstaniec r. 1863.

Ale przydatność poradnika nie ogranicza się tylko do podawania materiału historyczno-literackiego. Wiele wysiłku wkłada się w rejestrowanie łatwo dostępnych nut i pieśni polskich. Poradnik umie z praktyki życia świetliczarskiego wydobyć i należycie podkreślić dobrze przeprowadzone doświadczenia, tak n.p. opis wieczoru polsko-szkockiego w nr. 5 pokazuje mały fragment celowej roboty propagandowej.

"*Poradnik dla pracowników świetlic*" wyraźnie wkroczył w fazę rozwoju, widać to nie tylko z treści ale i z troski o wygląd estetyczny samego wydawnictwa. Przeglądając jego karty czuje się, że prowadzą go nie tylko dobrzy, kompetentni fachowcy, ale ludzie rozmiłowani i oddani idei, potrzebom pracy samokształceniowej.

A. O.

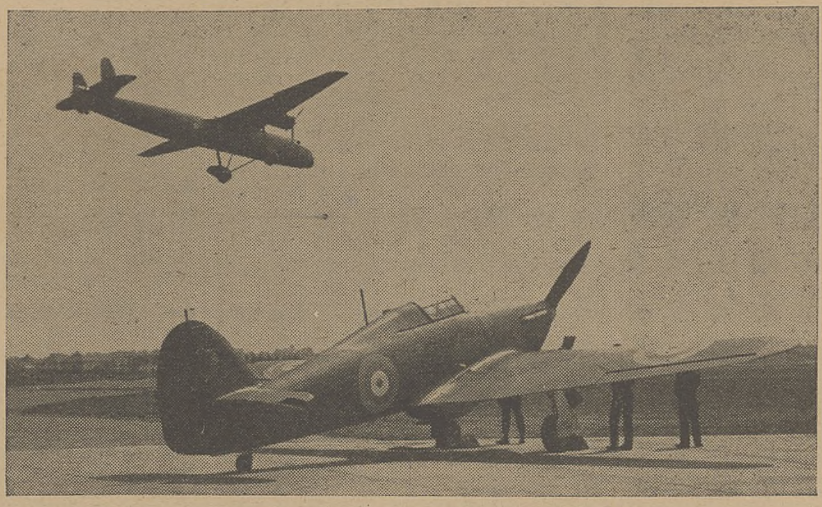
Numer 18-y "Polski Walczącej" z b.r. poświęciliśmy Polonii Amerykańskiej i sprawie tworzenia wojska polskiego w Ameryce. Ten s z e s n a s t o s t r o n i c o w y numer zawiera następujące prace:

Marian Kukiel: Czego oczekuje żołnierz polski od Polonii Amerykańskiej.—Posłanie na Zjazd Rady Polonii.—**Karol Popiel:** Paderewski—wódz duchowy Polonii.—**Marian Seyda:** Latem 1918 roku.—**Bronisław Hełczyński:** Polonia Amerykańska a Wojsko Polskie.—**Wacław Drzewiecki:** Polonia.—**Kazimierz Smereka:** O pierwszej armii polskiej w Ameryce (Rozmowa z generałem Józefem Hallerem).—**Ignacy Paderewski:** Hymn do Orła Białego.—**Tymon Terlecki:** W przededniu nowej armii (Rozmowa z generałem Bronisławem Duchem).—Naczelny Wódz o nowej armii.—**Antoni Bogusławski:** Od zachodniej strony.—**Bolesław Wierzbiański:** Generałowie Polacy w armii St. Zj.—**Never:** "303"—dywizjon rodem z Ameryki.—**Aleksandra Zasuszanka:** Marsz lotników.—**Stanisław Strumph Wojtkiewicz i Bohdan Pawłowicz:** Prezydent R. P. i Ambasador St. Zj. wśród żołnierzy Armii Polskiej.—**Edwin Muller:** Pomyślność przez trud i pracę (przeożył **Antoni Mamrot**).—**Arka Bożek:** Z Polonii Chicagowskiej.—**Adam Ordęga:** Wychodźstwo pracy i walki.—**Zygmunt Nagórski:** Polonia w Ameryce a przyszła Polska.—**Jan Meysztowicz:** Droga Polski i Ameryki.—**Michał Prozor:** Stany Zjednoczone w obliczu dwu wojen światowych.—**Jan Roskosz:** Polonia w r. 1917 i w r. 1941.—Polonia pisze do żołnierzy.—Żołnierze piszą do Polonii (**Gustaw Nierad:** List lotnika.—**Eugeniusz Wciślicki:** List marynarza.—**Big George:** List żołnierza armii lądowej.)—**tk.:** Przegląd polityczny.—**W. L.:** Z prasy żołnierskiej.—**Józef Stojek:** Feluś Czarnobrygadzista.—3 karykatury **Jana Rościszewskiego.**—Ozdobniki **Tadeusza Lipskiego.**—22 fotografie.

Zachęcamy gorąco Kolegów, którzy mają krewnych lub znajomych w Ameryce, aby przesyłali im egzemplarze tego numeru specjalnego. Egzemplarze można nabywać w Administracji "Polski Walczącej" (5, Portugal Street, London, W.C.2) w cenie 6 pensów wraz z przesyłką pocztową.

Z życia obozów

Lotnicy—bez kamuflażu



Afrykański bombowiec "Harrow" nad myśliwcem "Hawker Hurricane"

Zimno było jak diabli. Dął wicher z North-Eastu i gonił obłoki na bladym niebie, a słońce świeciło tylko tak, na pokaz. Jednym słowem: angielska wiosna, choć maj się zaczyna. . . . Przedmuchało mnie na wylot, bo szedłem piechotą od dworca kolejowego. Lotnisko miało być "bliziutko," tymczasem domki i żywopłoty, żywopłoty i domki—nie chcą się skończyć. Wszystkie są do siebie podobne: stoi taki, szyby *sittingroomów* wybałuszył na tego z drugiej strony ulicy, ziewa otwartymi drzwiami, wietrzy półopuszczonymi okienkami łazienki, uszy kominów wystawił nad ścianami szczytowymi po bokach i minę ma godną, jak nie wiem co. Jakby tylko sam jeden miał pod brodą ogród nie wiele większy od czterech chustek do nosa, czerwoną, czy też brunatną dachówkę i zielony kołnierz nieodzownego żywopłotu. A właśnie jego sąsiad, i sąsiad sąsiada, i wszystkie domki po obu stronach ulicy, i wszystkie szeregi ulic, aż do nieskończoności są akurat takie same. I—licho wie, gdzie się wreszcie to lotnisko zaczyna.

Jak na złość nie ma się kogo zapytać, bo jest niedziela: ulice puste, jak wymiótł, Anglicy siedzą w domu, patrzą w kominek i czytają biblię, a żadnego lotnika nie widać.

Włażę tedy na nasyp kolejowy mocując się z wichurą i rozglądam się z wysoka. A no—jeszcze parę szeregów domków strzyże uszami przede mną, a dalej jakieś krzaczki, znów domki, rzeczka i łąki, zdaje się bardzo bagniste. Lotniska ani śladu. A przecież miało tu być!

Już, zrezygnowany, chciałem zawrócić, gdy z drugiej strony nasypu zobaczyłem wreszcie żywego ducha. "Duch" był w lotniczym mundurze i w dodatku mówił po polsku z warszawskim akcentem.

—Pan kapitan szuka lotniska?—zagadnął z uśmiechem.

—Daleko to?—spytałem.

—A o tu—wskazał na domki i bagna.—Zara ta pierwsza brama.

Pokręciłem głową ze zdziwieniem, a on wyszczerzył zęby w uśmiechu.

—Zamaskowali nas, że piloci do lądowania trafić nie mogą, to i pana kapitana zmaniło.



Artur Horowicz: Nad mapą

Podziękowałem warszawiakowi, doszedłem szczękając zębami do owej bramy i po zbadaniu moich dokumentów przez wartę i oficera służbowego, dostałem się wreszcie do kasyna, gdzie już bez żadnych trudności zostałem zidentyfikowany przez kolegów i przyjaciół.

Niestety nie było ich tylu, ilu się tu zastać spodziewałem: większość stanowi młodzież, mniej znana mi osobiście; wielu znajomych brak. . . . Brak między innymi dowódcy, który zginął niedawno, wracając z lotu bojowego nad Francją. Ale ci, którzy są, muszą zastąpić tamtych. W lotnictwie żal po poległych może być głęboki, ale nie może przyćmiewać tej przewodniej myśli, że gdy śmierć zabiera kogoś z pilotów, lukę wypełniają inni. Nie wolno słabnąć wskutek strat. Trzeba pomimo nich sprostać zadaniu. Trzeba się dalej bić za siebie i za poległych. Nie tylko ich żałować; nie tylko smucić się stratą.

Tacy właśnie są ci młodzi. Tak czują i tak czynią.

Oto po nocy przespanej kamiennym snem w gościnnym pokoju nad kasynem (pod nieobecność jednego z dwóch lokatorów—na jego łóżku) prowadzi mnie Długi Joe na śniadanie i potem wiezie swoim samochodem do małego baraku na lotnisku—"na służbę."

—*Flight* A jest w *redinessie* i będziemy w *dispersalu* aż do obiadu—powiada.

Uśmiecham się na to słownictwo, w którym angielskie rzeczowniki odmieniane są przez polskie przypadki; uśmiecham się, bo przecież w roku 1919 mechanik lotniczy nazywał się "aparatszofer," maska silnika—"verschalung," śmigło—"propeler," chłodnica—"kiler," zaś karabin maszynowy zgoła—"maszyngwer," a już w dwa lata potem polska terminologia zastąpiła te dziwolągi. To też myślę, że gdy wrócimy do kraju, żadnego pilota nie "zablekauci" w skręcie, "flight" stanie się plutonem, czy eskadrą, "rediness" zniknie w pogotowiu, "dispersal" zaś—w rozproszeniu, a inne podobne naleciałości też przejdą na katolicyzm i zesłowiańszczeją. Dziś ułatwiają porozumienie z Anglikami; jutro będą się polonizować.

Tymczasem *rediness* (gotowość) i *dispersal* (rozproszenie) dotyczą maszyn i ludzi. Pierwsze drzemią z zagrzanymi silnikami, opite benzyną i obżarte amunicją do karabinów maszynowych, każda w towarzystwie nieodstępnego mechanika. Drudzy bądź grają w bridgea, bądź rozmawiają, czytają, drzemią rozciągnięci na łóżkach w baraku, ubrani do lotu. I te i tamci czekają na rozkaz.

Rozkaz przychodzi przez telefon (a czasem—w nagłych wypadkach alarmu—przez głośnik). Może poderwać w powietrze cały dywizjon do walki z wyprawą lotniczą wroga. Może rzucić jeden *flight* (pół dywizjonu) na jakieś zadanie bojowe. Może wezwać sekcję (2 samoloty) do patrolowania konwoju, albo do wypadu nad nieprzyjacielski teren. W każdym razie telefon odzywa się nie raz i nie dwa razy w ciągu *redinessu* i rzadko który rober zostaje dograny w tym składzie w jakim się zaczyna, a "wychodzący" często jest raczej wzlatującym. Czasem zresztą nie wraca. . . .

Długi Joe, mój schlafkamerad (może lepiej: *sleeping-fellow*?), nie mógł na przykład dograć robra z tej przyczyny, że mu Niemiec odstrzelił z działka pół siedzenia. . . . Wcale to nie zabawna była przyczyna, ani dla Joego, który ciężko ranny poszedł do szpitala, ani dla Niemców, jeśli się zważy wyniki owego lotu po obu stronach.

Dla lepszego zobrazowania tej sprawy przytaczam suchy raport z kroniki dyonu:

"*M.p. Dnia. . . .*

Start 12 *samolotów, godzina. . . .*

Olbrzymie ilości samolotów bombowych, które bombardują . . . (nazwa miasta), *osłaniane przez własnych myśliwców. Piloci nasi w składzie . . .* (nazwiska) *o godzinie . . . rozpoczęli walkę, w której wyniku straty npla wyniosły:*

11 *Do*-215 (Dornier)—*zniszczonych,*

3 *Me*-109 (Messerschmidt)—*zniszczone,*

oraz prawdopodobnie zniszczone:

2 *Me*-109 *i* 2 *Do*-215. ...

Straty własne wyniosły: 3 *Hurricane, oraz jeden ciężko ranny pilot, ppor.D.* (to właśnie "Długi Joe"), *którego odwieziono do szpitala.*"

Nieźle, co? Siedemnastu Niemców zrąbali w kilka minut, tracąc trzy własne samoloty i mając jednego rannego. Zaatakowali w dwunastu "olbrzymie masy" nieprzyjaciela. Ile tam mogło być tych Me-109 i Do-215? Trzysta sztuk? Pięćset sztuk?—Diabli wiedzą. Musiało ich być tyle, albo więcej, bo raporty zwykle podają konkretne cyfry, chyba, że się nie można doliczyć. . . .

Czytałem te raporty i aż mi dech zapierało:

"*Naszych sześciu atakuje* 60 *Me*-109 *i* 110, *spuszczają na ziemię* 18 *sztuk, a resztę gonią aż na drugą stronę Kanału.*

Startują całym dywizjonem po trzy razy w ciągu dnia i w jednym takim dniu mają 27 *Niemców na rozkładzie.*

Startują raz o godz. 12.00 *całym dywizjonem, drugi raz tegoż dnia o godz.* 14.00 *w dziewięciu i strącają:* 8 *Me*-109, 3 *Me*-110, 7 *Do*-215, *tracąc jedną własną maszynę, jednego zabitego i jednego rannego pilota.*

*Startują dywizjonem na zwalczanie wyprawy bombowej, staczają walkę ze "słabą" osłoną myśliwską nieprzyjaciela (Me-*109) *na wysokości* 25.000 *stóp, atakują wyprawę na wysokości* 15.000 *stóp bez żadnych strat własnych w ludziach, a tylko mając trzy uszkodzone własne samoloty. W walkach tych strącają:* 7 *He*-111 (Heinkel), 3 *Do*-215, 4 *Me*-109.

I tak dzień po dniu, dzień po dniu.

Są skromni do przesady, skąpi w słowach i opisach, nie cierpią patosu. nie starają się o reklamę. Czasem tylko któryś w sprawozdaniu poskarży się z irytacją:

"*Wygrzałem do "szkopa" prawie całą amunicję z moich sikawek. Rąbałem z odległości* 150 *yardów i widziałem, jak iskierki pocisków skakały po kadłubie i kabinie pilota, a ten s . . . syn żyje, bo ma opancerzenie. Dopiero ostatnia seria w silnik zmusiła go do lądowania.*"

Żadnej "literatury," żadnych dodatków kolorystycznych.

"*Z szyku odłączył się Me*-110. *Podskoczyłem do niego, zaatakowałem* 3/4 *z tyłu, z góry. Mierzyłem w prawy silnik. Zapalił się po drugiej serii. Załoga nie skakała. Widziałem, jak zszedł do ziemi, płonąc. W tej chwili zobaczyłem pod sobą smugi pocisków i stwierdziłem, że jestem atakowany przez dwa Me*-109. *Zrobiłem wywrót, zaatakowałem lewego z przodu. Chybiłem. Po moim zawrocie obaj wyrwali w chmury.*"

W takich słowach ci ludzie zamykają historie swoich walk, podczas których "zrąbali" Niemcom około 150 samolotów i—licząc ostrożnie—około 300 ludzi załogi.

Mają ciężką pracę: na wysokości 10-12.000 metrów jest kilkadziesiąt stopni mrozu: oddychać można tylko przez inhalator; charakterystyczne dla tej wysokości senność i bezwład są tam nieomal tak samo niebezpieczne jak niemieckie eskadry. A przecież niektórzy z tych pilotów mają już za sobą po 19 zwycięskich walk, po 60 godzin lotów bojowych, po dwie lub trzy rany. I mimo to na ziemi są prości, uśmiechnięci, zwyczajni.

Tylko, że warto by im dostarczyć trochę rozrywek. Warto by się nimi serdeczniej zająć. Mają wprawdzie dość pism angielskich i polskich w kasynie, mieszkają dość wygodnie i znośnie jadają. Ale brak im polskich książek, żywego słowa, bliskiego kontaktu z polską kulturą.

Byłem u nich trzy dni i wyciągałem z nich powoli to, czego nie mówią oficjalnym gościom i w ogóle ludziom nie z lotnictwa. To, czego można się od nich dowiedzieć tylko gdy się z nimi blisko żyje i gdy się ich rozumie. I cóż?—



Artur Horowicz: W oczekiwaniu na start

Odwiedzili ich różni ludzie: pisarze, artyści, dygnitarze. Do jednego dyonu przyjechał znakomity publicysta, pisarz znany, "czołowy." Miał odczyt. Dobry odczyt. Ciekawy. Słuchali go z zainteresowaniem i podziwem i byli mu bardzo wdzięczni. Ale później prelegent napisał felieton o swoim pobycie w dywizjonie. Pewnie chciał jak najlepiej, ale zrobił głupstwo. Oto, by ich wywyższyć w oczach czytelników—poniżał siebie: "buty wam powinienem czyścić" powiada, "cóż ja, marny cywil—przy was" i dalej w tym tonie.

Oni zaś są skromni, ale nie głupi: nie chcą, by im polscy pisarze buty czyścili, nie chcą tego padania plackiem przed ich bojową pracą, bo i bez tego znają swoją wartość. Nie ma potrzeby—powtarzam—wynosić ich w górę przez obniżanie siebie. Wystarczyło by raczej napisać coś nie coś o nich, nie zaś ciągle o sobie.

Do innego dyonu przyjeżdżał inny pisarz. Znany podróżnik i przyrodnik. Przyjeżdżał wielekroć, zbierać materiały do książki o walkach polskiego lotnictwa w tej wojnie. To nic, że dotychczas pisał o rybach, ptakach i motylach, bo przy dużym nakładzie pracy można napisać także niezłą książkę o sprawach, w których się nie brało udziału i które się poznaje dopiero ze sprawozdań uczestników. Byleby praca była rzetelna i byle się pisało z przekonaniem, z miłością dla tematu.

Ale autor nie lubi wojska. Nie lubi go jako takiego. Więcej: nie znosi go do tego stopnia, że nie mógł w nim wytrzymać . . . Należy wątpić, czy wytrzymałby w wojskowym lotnictwie. . . .

Więc—jaka ta książka będzie? I czy nie lepiej było by opowiedzieć lotnikom o egzotycznych podróżach i dziwach przyrody (powiedzmy—po 12 odczytów w każdym z dywizjonów)? No, zobaczymy.

Mógłby przyjechać niejeden pisarz czy pisarka. Można im posłać polski balet. Bo dotychczas poza osobistościami oficjalnymi i poza wspomnianymi na początku pisarzami była u nich tylko Czołówka Teatralna (Lwowska Fala) i to tylko raz. A jak była potrzebna, świadczy o tym fakt, że niektórzy lotnicy jeździli za nią z dywizjonu do dywizjonu i słuchali po trzy razy tego samego programu. "Żeby się nasłuchać polskiej piosenki, żeby się pośmiać, żeby się odświeżyć"—jak jeden z nich powiedział kierownikowi teatralnego zespołu.

Jeszcze parę słów o mechanikach. O tych, którym się zwykle poświęca najmniej miejsca w pochwałach, o których pracy mało się mówi, a jeszcze mniej wie poza dywizjonem. A przecież od ich poświęcenia, od ich sumienności i umiejętności zależy wydajność działań bojowych.

To oni w gorących dniach lotniczej obrony Londynu jesienią ubiegłego roku po trzy razy dziennie przygotowywali do lotu te same maszyny. To oni nie dosypiali i nie dojadali, oni urabiali sobie ręce po łokcie, byle piloci mogli latać i walczyć. Oni wreszcie ginęli przy pracy pod obstrzałem niemieckich karabinów maszynowych i bomb rzucanych na lotniska.

Są zdolni, pracowici, uniwersalni. Nie ma takiej rzeczy, której by nie potrafili zmajstrować, naprawić, ulepszyć. I im—może w jeszcze większym stopniu, niż pilotom—potrzebna jest polska książka, polska piosenka i słowo. Pilot bowiem może sobie od biedy pozwolić na kupno małego samochodu (na długie raty po parę funtów miesięcznie), samochodu, który często jest jedynym środkiem łączności między lotniskiem a miastem. Mechanik—nie. Pilot czasem może wyskoczyć na 2-3 godziny do znajomych. Mechanik—bardzo rzadko.

Więc, gdy oni nie mogą dostać polskiej książki, gdy nie mogą przyjechać do Was, panowie artyści i pisarze—poślijcie Wy im książki i pojedźcie do nich. Nie—by czyścić im buty i nie—żeby politykować, nie—żeby zdobywać sobie popularność, ale—żeby im dać to, czego brak najwięcej: polskiej rozrywki, polskiej kultury i polskiej myśli.

Herbert

Przegląd polityczny

Uwaga opinii brytyjskiej kieruje się w tej chwili na dwa kraje, położone na przeciwległych stronach globu: Stany Zjednoczone i Rosję Sowiecką. Odnosi się wrażenie, jakoby różnica geograficzna zaznaczała się w całkowicie sprzecznych nastrojach i rządów i społeczeństwa.

Pisaliśmy kilkakrotnie, że sytuacja międzynarodowa Sowietów *pogarsza się z każdym dniem*: olbrzymie to państwo Niemcy otaczają ze wszystkich stron, zarówno od Bałtyku jak i Morza Czarnego, tak od Finlandii jak i Amuru, a w tej chwili Hitler przygotowuje jeszcze dodatkowe okrążenie od strony Turcji. Ponadto, Niemcy zupełnie otwarcie *popierają wszystkie ruchy separatystyczne narodów, wchodzących w skład państwa rosyjskiego*: Ukraińcy, Białorusini, Gruzini, nawet Tatarzy — korzystają ze wszystkich praw ludów "dobrowolnie wchodzących w orbitę Trzeciej Rzeszy." Tak np. w okupowanej Polsce Białorusinom i Ukraińcom przysługują te same przywileje żywnościowe, co "panom Europy," to znaczy poddanym Hitlera i Franka.

Polityka Berlina jest (jak zresztą była zawsze) najzupełniej konsekwentna, trzymająca się linii dawno wytkniętej i nie zbaczająca od głównego szlaku ani o centymetr: Rosja i jej cały reżim skazane są przez Niemców na zagładę.

Wiedzą o tym świetnie w Moskwie. Dyplomacja każdego rządu rosyjskiego przed rokiem 1914 czyniłaby rozpaczliwe starania o nawiązanie jak najściślejszego związku z krajami, które hegemonii niemieckiej stawiają najzaciętszy opór; sztab generalny mobilizowałby armię i dozbrajał ją na gwałt. Ale Rosja sowiecka jest państwem ogromnie słabym, zdezorganizowanym w najwyższym stopniu. Wojna fińska wykazała kompromitację armii, długie ogonki po cukier w Odessie, stolicy buraczanej i najbardziej "słodkim" mieście Europy—wykazują stałą dezorganizację sowieckiego życia gospodarczego. I Stalin nie zdobywa się bynajmniej na gesty swego teroetycznego prawzoru, to jest Piotra Wielkiego. *Polityka Moskwy jest trwożliwa, fałszywa i cyniczna zarazem.*

W bardzo ciężkim położeniu trzeba było zdobyć się na jakąś decyzję, dodającą otuchy społeczeństwu. Stalin objął formalnie tę władzę, którą zresztą przed tym faktycznie posiadał: kazał mianować się przewodniczącym Rady Komisarzy Ludowych. Dotychczas był "skromnym sekretarzem Trzeciej Międzynarodówki" który to fakt stale podreślały z sentymentalną łezką wszystkie pisma komunistyczne.

"Stalin—pisała przed wojną w 1939 "L'Humanité"—jest tylko sekretarzem partii, on, największa nadzieja światowego proletariatu. Nie pożąda większych godności i t.d."

Obecnie okazuje się, że pożąda, w "celu zjednoczenia woli ludowej." Niestety, zjednoczenie to idzie po linii co raz to większych ustępstw na rzecz osi. I tak np. poselstwom państw, okupowanych przez Niemcy, odmówiono w Moskwie praw, z których korzystają reprezentacje dyplomatyczne. *Między tymi państwami figuruje Jugosławia, kraj, z którym jeszcze kilka tygodni temu zawierano pakt przyjaźni i nieagresji!*

Poza tym, rząd sowiecki energicznie wypiera się, jakoby mobilizował wojska na granicy niemieckiej. Chodzi tu, powiada, tylko o jakieś całkiem nieznaczące posunięcia na Syberii. Wojska gromadzi się za to nad granicą perską.

Oczywiście, ta przyjaźń jest również całkowicie fałszywa i dyktowana jedynie i wyłącznie strachem oraz grą na czas. Jakiekolwiek, nawet bardzo sensacyjne zaskoczenia ze strony Moskwy—są ciągle jeszcze możliwe. Jednakowoż zdaje się, że wystąpienie Rosji przeciwko Niemcom jest mało prawdopodobne w tej fazie wojny. Stalin jest stanowczo za słaby, aby, nawet w rozpaczliwie trudnej dla Rosji sytuacji, decydować się na wojnę zaczepną, prewencyjną. Datę likwidacji Sowietów i w ogóle państwa rosyjskiego wyznaczy Hitler, w którego interesie nie leży zresztą natychmiastowe okupowanie olbrzymiego imperium. Wystarczy szachowanie towarzyszy na Kremlu wojskami w Finlandii i manewrami w Rumunii oraz nad Morzem Czarnym.

Z niestałości i słabości polityki rosyjskiej zdają sobie sprawę Stany Zjednoczone, odnosząc się do wszystkich zapewnień Moskwy z ogromną rezerwą. Ostatnio rząd amerykański zabronił wywozu do Rosji zarówno maszyn jak i produktów przemysłowych. Krok ten motywowano zawarciem przez Rosję paktu nieagresji z Japonią, wywozem maszyn amerykańskich z Rosji do Niemiec, *wreszcie niestałością polityki zagranicznej Sowietów*. Pierwsze dekrety Stalina, jako przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, zwłaszcza to cyniczne zachowanie się wobec Jugosławii—aż nadto usprawiedliwiają powściągliwość rządu w Waszyngtonie.

Nastroje amerykańskie charakteryzuje najlepiej artykuł największego pisma w Stanach Zjednoczonych "New York Times," który wysuwa tezę, że nie chodzi już o to, czy Stany wejdą do wojny, *ale kiedy wejdą do wojny.*

— "Chwila—pisze "New York Times"—kiedy Ameryka znajdzie się *oficjalnie* w wojnie z Trzecią Rzeszą, jest bliższa, aniżeli ogólnie sądzimy."

Bardzo trafne określenie. Torpedowce amerykańskie wraz z brytyjskimi patrolują na Atlantyku a wielkie krążowniki strzegą konwojów, płynących do portów angielskich. Stąd do otwarcia ognia na niemieckie łodzie podwodne—jest tylko jeden krok, a raczej jeden telefon z mostku kapitańskiego do bateryj okrętowych. Stany Zjednoczone *muszą* wejść do wojny i to nie tylko ze względów ideologicznych, ale wprost z powodu najżywotniejszego zagrożenia interesów amerykańskich na wypadek sukcesów niemieckich na Oceanie Atlantyckim. *Bezpieczeństwo Atlantyku i Oceanu Spokojnego—zależy jedynie i wyłącznie od najściślejszej współpracy anglo-amerykańskiej.*

Z faktu tego zdawało sobie sprawę bardzo wielu ludzi przed wojną i w Ameryce i w Europie. Niestety, trzeba było dopiero strasznych doświadczeń dziejowych, aby o tej prawdzie nabrała przekonania szeroka opinia amerykańska. Stanowisko jej, jak i stanowisko rządu amerykańskiego, dopiero dzisiaj jest jasne. Gdyby tak, jak w tej chwili precyzuje się je w Waszyngtonie mówiono i postępowano rok temu—*walka o duszę Francji byłaby wygrana.* Nie znalazłby się żaden Laval, żaden Déat, żaden Flandin, któryby śmiał doradzać kapitulację w chwili, poprzedzającej wejście Stanów Zjednoczonych do wojny.

Brak solidarności w polityce wielkich demokracyj świata, ten cały pacyfizm integralny, te deklamacje o pokoju i obawa przed wojną—*były nie przykładem, ale zachętą dla Niemiec.* Poza tym, wszystkie te teoretycznie piękne hasła okazały się dymną zasłoną słów, poza którymi kryły się zupełnie ordynarne spekulacje i interesy największych wrogów i wolności i demokracji.

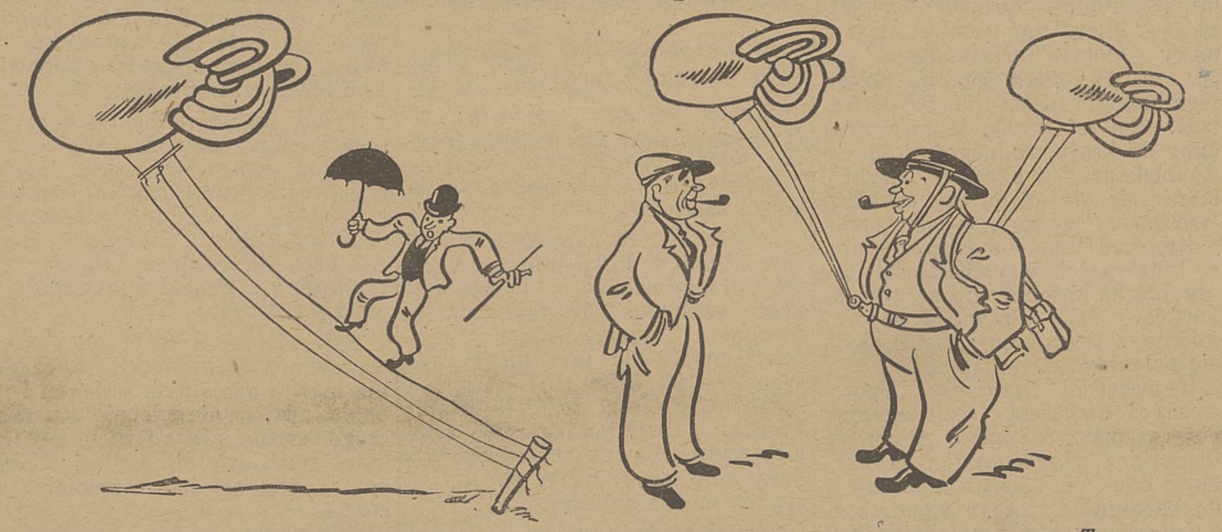
Klasycznym przykładem takiej właśnie gry najbardziej samolubnych i na wskróś materialnych geszeftów jednej tylko klasy a raczej nawet grupy społeczeństwa—jest Francja i rządy w Vichy. Ludzie, którzy dorwali się do władzy w cieniu Hitlera, doszli do niej po trupie własnej ojczyzny. Kierował nimi strach i to nie tyle przed wrogiem, ile wyimaginowany strach przed własnym ludem, przed możliwością wielkich zmian społecznych, przed utratą olbrzymich majątków i łatwego, pasożytniczego życia. I wbrew najżywotniejszym interesom Francji—rząd w Vichy półoficjalnie, a Laval, Déat, Henriot (polityk prawicowy) całkiem oficjalnie wysługują się Niemcom.

Hitler domaga się od rządu w Vichy dalszych ustępstw, jednoznacznych ze "współpracą" czyli dobrowolnym wejściem Francji w orbitę rozkazów berlińskich. Obiecuje się za to względy w chwili zawierania pokoju. Oczywiście, wszystkie te przyrzeczenia będą znowu zwykłym świstkiem papieru, ale na razie, za pomocą jakichś obietnic, ustępstw i "łaskawości" — stara się Hitler całkowicie rozbroić honor i godność narodu francuskiego. Znajduje ludzi, którzy mu w tym pomagają i to bardzo intensywnie. Co raz to częściej mówi się o zgodzie na okupację Syrii, o przemarszu Niemiec przez Francję do Hiszpanii.

Wielki naród znalazł się na dnie przepaści nie tylko politycznej, ale i moralnej. Od pięciu wieków nie była Francja w gorszym położeniu. Ludzie, ratujący honor tego wspaniałego kraju proszą o cud, o nową Joannę d'Arc. Ogromny wstrząs moralny, poprzedzający odrodzenie Francji—jest największym życzeniem jej przyjaciół, do których zawsze będzie się zaliczał naród polski.

tk

Polskim "baloniarzom" ku przestrodze i uwadze



Strzeżcie się linoskoczków! Może skorzystacie z tego wynalazku?

rys. Tony

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam—sh.10 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.5 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.